NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonparellowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 23. lipca 1921. Nr. 30.

Wspomnienie dawnych, lepszych czasów



Kramy z indykami w Londynie z ostatnich lat przed wojną.

Wspomnienie dawnych, lepszych czasów.

(Do illustracyi tytułowej).

Przypadkowo, przy przeglądaniu zbioru naszych fotografii, wpadła nam w ręce zamieszczona na stronicy tytułowej, a będąca miłem wspomnieniem dawnych, przedwojennych czasów, tak różnych od obecnych. Wojna światowa, która miała zmienić dotychczasowy porządek świata, zmieniła go, ale bynajmniej nie na lepsze. Skutki jej odbiły się fatalnie we wszystkich dziedzinach naszego życia, przedewszystkiem zaś na aprowizacyi, która z dnia na dzień staje się coraz trudniejszą! Nie pomagają nowo powołane do życia instytucye, mające ziemn zaradzić, jak dyktatury żywnościowe, ministerstwa aprowizacyi i t. p., ludność całej Europy głoduje, a głód, wiadomo, złym bywa doradcą.

Z utęsknieniem wspomina się dawne czasy, gdy tak łatwo było zaopatrzyć się w artykuły spożywcze, w porównaniu z obecnemi stosunkami za bardzo pomyślne uznać należy te, jakie panowały w Paryżu podczas oblężenia go przez Niemców, lat temu okrągło pięćdziesiąt. Czytając przed wojną pamiętniki i wspomnienia z tych czasów, dziwiliśmy się, jak Paryżanie mogli wytrzymać w podobnych warunkach, a nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że za lat kilka znajdziemy się w stokroć gorszych. Dawne stosunki, jakie u nas panowały przed wojną, mającą się przyczynić do poprawienia sytuacyi, wydają się nam dziś bajką z „Tysiąca i jednej nocy".

Pod względem aprowizacyjnym niedomagają wszystkie kraje Europy, jedne mniej, drugie więcej, wojna dała się we znaki nie tylko zwyciężonym, ale i zwycięzcom, odczuły ją i kraje, bezpośrednio w wir walki nie zamięszane.

Illustracya nasza przedstawia londyński kram z bitymi indykami, z czasów bezpośrednio przed wybuchem wojny. Indyk, to w Anglii potrawa narodowa, bez której nie mógłby się obejść wieczór Bożego Narodzenia, nawet pod dachem ubogiego wyrobnika, który rok cały robi oszczędności, aby wówczas mógł sobie pozwolić na podobny wydatek. Indyk pieczony i *pudding*, to dwie potrawy, które spotkać można w Anglii w ważniejszych okolicznościach, tak na stole bogacza, jak i mniej zamożnego. W okresie przedświątecznym popyt na indyki w Londynie bywał też stale ogromny, a handlarze nie mogąc dla oszczędzenia czasu pakować swych zapasów na noc, aby je rano z powrotem rozkładać na widok publiczny, zostawiali je zupełnie nie zamknięte, jedynie pod osłoną policyi.

Po wojnie i w Londynie zmieniły się stosunki. Indyków nie spotyka się ani w tysiącznej części, w stosunku do przedwojennej ich liczby, a ceny ich są daleko wyższe niż poprzednio, zatem niedostępne dla gorzej materyalnie sytuowanych.

W naszych stosunkach, gdzie za indyka trzeba płacić tysiącami, illustracya powyższa nasuwa na myśl dawne przedwojenne czasy, kiedy to i u nas, nawet średnio zamożny mógł sobie na święta lub z okazyi jakiejś uroczystości rodzinnej pozwolić na podobny zbytek, który go kosztował kilkanaście koron. Takiego kramu, jak na rycinie, musiałby u nas w obecnych stosunkach pilnować nie jeden policyant, ale cały pułk wojska z armatami i karabinami maszynowymi.



Zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski: Trybuny dla publiczności nad Kanałem Bydgoskim. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski.

Drugie wszechpolskie zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski rozegrane zostały w Bydgoszczy w dniu 3. b. m. Zeszłoroczne, które wypadły tak imponująco, obudziły w całym kraju żywe zainteresowanie i przyczyniły się do tem liczniejszego wzięcia udziału w tegorocznych, które śmiało można nazwać wszechpolskimi, do popisów stanęły bowiem niemal wszystkie towarzystwa wioślarskie z całego kraju. Ubiegłego roku mistrzowstwo to i połączony z niem srebrny puhar, dar krakowskiego „Sokoła", zdobyli akademicy warszawscy, w tegorocznych zawodach o tę godność wzięło udział Warszawskie Towarzystwo wioślarskie (2 osady), A. Z. S. w Warszawie, Koło Wioślarzy Warszawskich, A. Z. S. Kraków, Klub wioślarzy „Tryton" Poznań, Towarzystwo Wioślarskie Bydgoszcz i Towarzystwo Wioślarskie w Kaliszu. Bieg ten obudził największe zainteresowanie



Zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski: Delegaci Towarzystw Wioślarskich na statku w drodze na regaty. Aj. fot. M. Fuks, Warszawa.

wanie, dotychczasowi zwycięzcy starali się bowiem utrzymać i nadal przy zdobytym zaszczycie, a współzawodnicy dołożyli wszelkich starań, aby pokonać groźnego przeciwnika i zyskać dla siebie to chlubne odznaczenie.

Z zadowoleniem skonstatować należy, że sport wioślarski rozwija się w naszym kraju coraz pomyślniej, a jest to głównie zasługą Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich, założonego w roku 1919, a opartego na międzynarodowym statucie. Związku zajmuje się urządzaniem dorocznych zawodów, a najodpowiedniejszem dla nich miejscem jest Kanał Bydgoski, u ujścia Brdy, mający wodę stojącą, nie narażający zatem wioślarzy na nieprzyjemne niespodzianki, z jakiemi można się spotkać w zmieniającem się bardzo często korycie Wisły.

Na zawody przybyli przedstawiciele Towarzystw Wioślarskich z Krakowa, Poznania, Warszawy, Kalisza, Płocka, Włocławka, Łomży itd., nadto zaś reprezentacya Wilna, która również wzięła w nich udział. Regaty nasze, nie ustępujące w niczem zagranicznym, urządzane są z wielkim nakładem starania, a postępy, jakie czyni nasze wioślarstwo, pozwalają żywić nadzieję, że będzie ono mogło stanąć godnie do zawodów międynarodowych, które odbędą się podczas następnej Olimpiady, zapowiedzianej w Paryżu na rok 1924.

W celu ułatwienia jak najszerszej publiczności w wzięciu udziału w tem święcie sportowem, uruchomiono na ten dzień specyalne pociągi do Bydgoszczy i do ujścia Brdy. Na zawody przybyli przedstawiciele najwyższych władz cywilnych i wojskowych, aby wzorem zagranicy złożyć życzenia zwycięzcom.



Zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski: Warszawskie Tow. Śpiew. „Duda", podczas przyjęcia w Kapuścikach Małych. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.



Zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski: Sternik bydgoskiej osady, ktora zdobyła mistrzowstwo, Dr Siemiątkowski. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Zawody przy tłumnym napływie publiczności rozpoczęły się o godzinie trzeciej popołudniu, a program obejmował dziesięć biegów. Rozpoczęły dwa przedbiegi do biegu czwórek o mistrzowstwo, poczem po dwu dalszych nastąpił najważniejszy bieg czwórek o mistrzowstwo Rzeczypospolitej i puhar honorowy krakowskiego „Sokoła". Z zapartym tchem śledzono przebieg tej decydującej walki, a salwy oklasków i gromkie okrzyki powitały zwycięzców w osobach czwórki Towarzystwa Wioślarskiego Bydgoskiego, które zdobyło dla siebie na rok 1921 tytuł mistrza i dar honorowy.

Dalsze biegi śledzono również z wielkiem napięciem i podziwiano dzielność poszczególnych osad, idących ze sobą w zawody o lepsze, a miłośnicy tego sportu, którzy widzieli tego rodzaju zapasy za granicą, specyalnie zaś w Anglii, gdzie się nimi tak żywo interesuje całe społeczeństwo, utrzymują zgodnie, że nasze wioślarstwo mogłoby się z nimi śmiało zmierzyć nie bez nadziei zwycięstwa.

W dniu czwartego lipca b. r. rozpoczął się w Bydgoszczy Sejmik Wioślarski przy udziale przedstawicieli wszystkich Towarzystw, reprezentowanych w Związku, a przedmiotem obrad były sprawy dotyczące wioślarstwa polskiego i działalności na przyszłość.

Sport wioślarski nie miał dotąd w Polsce odpowiedniejszego pola do należytego rozwinięcia się. Podzieleni kordonami na trzy części, nie mieli nasi wioślarze łączności między sobą, poszczególne ich grupy występowały zatem odrębnie, dopiero po zjednoczeniu wszystkich dzielnic utworzyć mogły wspólny Związek, który, jak na drugi rok istnienia, przedstawia dziś już potężną organizacyę i budzi zainteresowania się tą gałęzią sportu także w tych okolicach, gdzie dotąd mało nań stosunkowo zwracano uwagi i nie przypisywano mu tego znaczenia, jakie ma dla rozwoju fizycznego młodego pokolenia.

Zmiany w prezydyum
m. Krakowa.

Dotychczasowy statut miasta Krakowa został o tyle zmieniony, iż w prezydyum posiadać będzie odtąd nie trzech ale czterech wiceprezydentów, bez dotychczasowego oznaczenia ich cyframi porządkowemi.

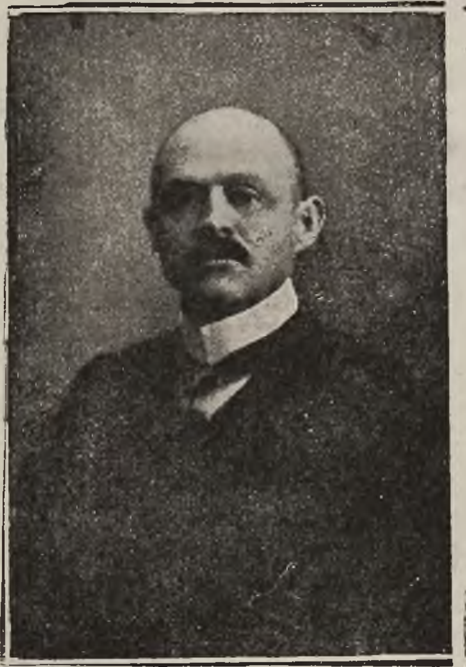
W dniu 11 lipca b. r. odbył się wybór dwu nowych wiceprezydentów, a to w miejsce zmarłego niedawno śp. dr. Bandrowskiego i na nowokreowany czwarty fotel. Na podstawie porozumienia pomiędzy poszczególnyni klubami radzieckimi, wakujące miejsce w prezydyum przyznano reprezentantowi Klubu demokratycznego, oraz przedstawicielowi powołanych niedawno w skład Rady miejskiej delegatów sfer robotniczych. Nie był to za tem de facto wybór, lecz nominacya.

Wybrani zostali, znany działacz społeczny i jeden z przywódców tutejszej partyi socyalistycznej, lekarz, dr. Emil Bobrowski, poseł na Sejm warszawski (65. głosów), oraz dr. Piotr Wielgas, sę-

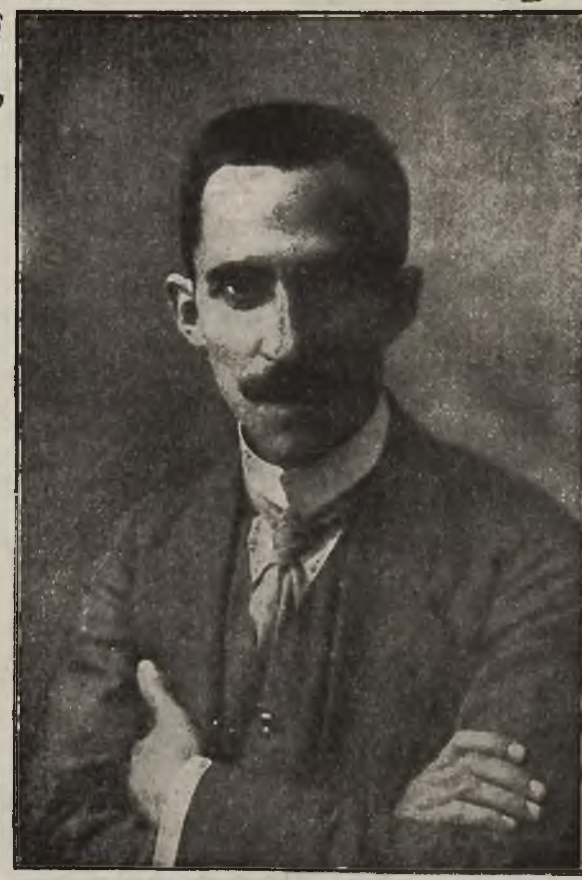


Zawody wioślarskie o mistrzowstwo Polski: Osada krakowskiego A. Z. S. biorąca udział w zawodach. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

dział okręgowy (63. głosy). Radca Muczkowski otrzymał 30 głosów, szesnaście kartek oddano białych. Od głosowania wstrzymali się chrześcijańsko-społeczni, narodowi demokraci i socyaliści żydzi.



Zmiany w prezydyum miasta Krakowa: Wiceprezydent Dr Piotr Wielgus.



Zmiany w prezydyum miasta Krakowa: Wiceprezydent Dr Emil Bobrowski.

Osoba dr. Bobrowskiego znaną jest szeroko z swego żywego udziału w sprawach społecznych nie będziemy się zatem rozwodzić dłużej nad jego dotychczasową działalnością, dr. Wielgus, po raz pierwszy występuje na arenę szerszej polityki jako mąż zaufania tak zwanych „krakowskich demokratów".

Dr. Piotr Wielgus ur. się w 1872 r. w Tarnowie, gdzie chodził do szkół. Po skończeniu Uniwersytetu w Krakowie został mianowany sędzią w Czarnym Dunajcu a następnie w Nowym Targu. Do Krakowa przydzielony został przed 15 tu laty.

Pełen energii i inicyatywy gorliwie pracował w licznych krakowskich instytucyach oświatowych kulturalnych i społecznych. Wybrany do Rady miejskiej w r. 1911 zasiada w niej do tej pory. Dobry prawnik, szczerze zainteresował się szeregiem bieżących spraw miejskich, służąc w komisyach radzieckich radą i pracą.

Wobec tej zmiany w prezydyum miasta Krakowa nastąpił też zmieniony nieco rozdział czynności urzędowych między jego członków.

Prezydent miasta zatrzymał sobie: naczelny nadzór nad całością gospodarki miejskiej, sprawy personalne i skarbowe. Wiceprezydent dr. Bobrowski objął sprawę aprowizacyi miasta, między innemi i węgiel, sprawy urzędu zdrowia, oraz zakłady sanitarne, wreszcie sprawy ubezpieczeniowe. Wiceprezydent Rolle sprawy szkolne, dobroczynne, opieki społecznej, muzea, kuchnie wojenne, zakłady ceramiczne. Wiceprezydent Sare wszystkie zakłady miejskie, oraz wydział ekonomiczny magistratu, budownictwo i policya budowlana. Wreszcie wiceprez. dr. Wielgus sprawy przemysłowe, wojskowe, przynależności, sprawy miejsk. urzędu mieszkaniowego, urzędu rozjemczego dla spraw najmu i reformy rolnej.

„Targi Wschodnie" we Lwowie.

Żaden z krajów europejskich nie nadaje się tak do objęcia pośrednictwa w handlu między Wschodem a Zachodem Europy, jak Polska. Od setek lat tędy szła jedna z głównych dróg handlowych, wiodących z Zachodu na Wschód, a jeśli tego położenia naszego geograficznego nie potrafiliśmy należycie wyzyskać, jest to winą ówczesnych stosunków społecznych, a następnie utraty naszej samodzielności politycznej. Szlachta polska brzydziła się handlem, uważając to zajęcie za poniżające i inne sfery społeczne, nie posiadające naówczas pełni praw obywatelskich, nie mogły go ująć z należytą siłą w swe ręce. Ale już wówczas rozumiano korzyści stąd płynące i tem sobie należy tłómaczyć posuwanie się ciągłe mieszkańców Zachodu, głównie Niemców wgłąb Polski, z drugiej zaś strony coraz większe zbliżanie się ludów wschodnich w stronę Lwowa, który był zawsze miejscem, gdzie się koncentrował handel Wschodu z Zachodem. Nasi Ormianie galicyjscy, tak licznie osiadli we Wschodniej Małopolsce, to potomkowie wschodnich kupców, których tutaj sprowadziły stosunki handlowe z Polską. Z chwilą utraty naszej samodzielności politycznej, zaborcy zagarnęli dla siebie wszelkie korzyści płynące z handlu z Wschodem i potrafili go skierować na inne drogi, dla nich wygodniejsze i korzystniejsze.

Dawniej główny szlak handlowy od strony Zachodu kończył się we Lwowie, tu zaczynał się nowy, wiodący na Wschód i Południe. Niemal cała ta część kraju brała żywy udział w handlu z bliższym i dalszym Wschodem, czerpiąc z tego bardzo poważne zyski, a przypomnieniem tych stosunków handlowych były do niedawne jeszcze takie na przykład doroczne jarmarki w Uiaszkowcach, gdzie spotkać się można było z przedstawicielami całego Wschodu. Mała wschodnio-galicyjska miejscowość na czas jarmarku kipiała życiem, jakiego pozazdrościć by jej mogła niejedna stolica, dokonywane tu transakcye handlowe szły w setki milionów. W miniaturze odbywało się coś podobnego i w innych miastach na wschodnich kresach Polski. Na doroczny jarmark na św. Annę w Tarnopolu do ostatnich lat przed wojną zjeżdżali się kupcy z całej niemal Austryi.

Wskrzeszeniem dawnych tradycyi zajęto się obecnie w budzącej się do nowego życia Polsce nie na żarty, oceniając całą doniosłość, jaką dla naszego kraju może mieć skierowanie tędy z powrotem drogi handlowej między wschodem a zachodem Europy. I znów jak za dawnych czasów, ma się stać Lwów tem centrem, gdzie się zbiegną drogi handlowe i gdzie ma nastąpić wzajemna wymiana produktów. Przemysłowy Zachód pospieszy tu z swymi wyrobami, aby w zamian otrzymać tak obficie płynące ze Wschodu materyały surowe i tamtejsze wyroby, cieszące się w całym świecie takim pokupem.



„Targi Wschodnie" we Lwowie: Członkowie Komitetu zajmującego się urządzeniem Targu. 1) Wiceprezydent Dr Stahl, 2) pułkownik Jasiński, 3) dyr. Turski, 4) dyr. Barwicz, 5) dyr. Tomicki, 6) pułkownik Lidl, 7) redaktor Zachariasiewicz.



„Targi Wschodnie" we Lwowie: Położenie kolejowego toru na Plac Powystawowy, gdzie się ma odbyć Targ Wschodni.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

— Nie, nie myślę, żeby tak było, jeżeli jego żona prosiła, żeby do niego nie przychodził, gdyż to uczyni na nim za silne wrażenie i że jej oznajmił, że przez parę tygodni nie chce widzieć nikogo.

— Czy pani jest zupełnie pewną, że jej mąż nie chciałby ze mną się widzieć, nawet gdyby wiedział, że tutaj jestem?

— Jak można być zupełnie pewnym tego, co kto myśli lub pragnie? Powiedział mi, że nie chce widzieć nikogo.

— Dlaczego się nie dowiedzieć?

— Dowiedzieć się?

— No tak, zapytać. Bezwarunkowo nie jestem człowiekiem, który się narzuca swemu przyjacielowi wbrew jego woli, lecz byłbym pani bardzo obowiązany, jeżeli pani zechce powiedzieć swemu mężowi, że jestem tutaj, i pytam się, czy nie chciałby mnie widzieć.

— Pan żąda, żebym budziła chorego w nocy, kiedy śpi, dla przyjęcia wizyty! Odmawiam stanowczo.

— Oh, jeżeli rzeczywiście śpi!

— Powiedziałam już panu, że przed samem jego przybyciem grałam mu na fortepianie i że zasnął. Widzę, że pan dzisiaj bardzo nieuważnie słucha tego, co się mówi, doktorze Isaacson!

Wstała.

— Sądzę, że lekarz powinien być uważniejszym.

Puls w jej powiece uderzał gwałtownie.

Powstał także.

— A ja sądzę, że lekarz — mówił bardzo spokojnie — lepiej wie, jak postępować z chorym, niż ten, kto lekarzem nie jest. To, co pani mi powiedziała dziś rano w świątyni i to, co słyszałem w Kairze i Luksorze, zaniepokoiło mnie o mego przyjaciela i proszę, żebym był do niego dopuszczony.

— Kair! Luksor! co pan słyszał w Kairze i w Luksorze?

— Kairze słyszałem, że mąż pani jest zanadto chory, żeby módz podróżować i dla tego powodu nie pojechał do Anglii, kiedy się dowiedział o śmierci brata. W Luksorze powiedziano mi to samo.

— Naturalnie i prawdopodobnie z różnymi przesadnymi dodatkami.

— Może. Lecz porażenie słońcem bywa czasem bardzo poważną chorobą.

— Nigdy nie słyszałam, żeby pan był specyalistą od porażenia słońcem.

— Czy jest nim doktór Baring Hartley, który czuwa nad chorym z Assnau?

Patrzeli na siebie przez chwilę w milczeniu.

— Być może, że byłam trochę niesprawiedliwą. Miałam dużo przykrości w ostatnich czasach i to mnie rozdrażniło. Wiem, że pan jest oddany Niglowi i jestem wdzięczną za jego przyjacielski niepokój. Lecz — może pan sobie nie zdaje sprawy, że wyraził ten niepokój w sposób — trochę uwłaczający dla mnie, i każda kobieta — każda żona — odczułaby to i odczułaby głęboko.

— Bardzo mi przykro — rzekł chłodno. — W jaki sposób dotknąłem panią!

— Pańskie słowa, cały sposó przybbyciazdawały się wyrażać powątpiewanie co do moich starań i niepokoju o Nigla. Czuję to.

— Bardzo mi przykro powtórzył tym samym lodowatym tonem.

Wargi jej drżały.

— Może, będąc mężczyzną, nie rozumie pan jak to rani kobietę, jeżeli ktoś ją odsuwa mając za nic jej wysiłki i wszystko co uczyniła, bagatelizując jej usługi i poświęcenia i stara się zająć jej miejsce.

— Oh, Mrs. Armine, pani przesadza. Nie chcę niczego podobnego. Pragnę jedynie złożyć medyczne zdolności, któremi Bóg mnie obdarzył na usługi męża pani, a mego przyjaciela.

— Nie mogę wyrządzić tej zniewagi doktorowi Baring Hartley, ażeby wprowadzić innego lekarza poza jego plecami.

Powiedziała to głosem równie chłodnym, twardym i stanowczym jak jego własny.

— Dziwię się, że pan może być tak obojętnym na etykietę swego własnego zawodu — dodała.

— Załatwię tę sprawę pomyślnie z doktorem Hartey jak będę w Assnau.

— To nie będzie potrzebne.

— Czy pani chce powiedzieć, że mi stanowczo nie pozwala widzieć jej męża?

— Tak. W każdym razie pan nie może widzieć go teraz, kiedy śpi...

Zatrzymała się. Wśród panującej na łodzi ciszy rozległ się ostry dźwięk elektrycznego dzwonka.

— Kiedy śpi, — mówiła śpieszniej i nierównie. A jutro sam doktór Hartley już tutaj będzie i uczynię, co powie. Jeżeli się zgodzi na konsylium...

Dzwonek znowu się odezwał. Zmarszczyła brwi. Hanza ukazał się we drzwiach prowadzących na pokład. Przeszedł cicho przez pokój otworzył pierwsze drzwi i zniknął zamykając je z nienaturalną szybkością.

— W takim razie postać rzeczy się zmieni i będę bardzo rada usłyszeć pańskie zdanie. Znam jego wartość... spojrzała na drzwi, przez które wyszedł Hanza... — lecz nie mogę obrażać doktora Hartley. A teraz muszę powiedzieć dobra noc.

Mówiła ciągle z pośpiechem i wyciągnęła rękę.

— Feluka pana odwiezie. A z rana, jak tylko doktór Hartley przybędzie rozmówię się z nim i dam znać. Pan bardzo łaskaw, że się trudził.

Lecz Isaacson nie ujął wyciągniętej ręki.

— Mąż pani nie śpi — rzekł nagle.

Ręka jej opadła.

— Jestem przekonany, że gdyby wiedział, że jestem tutaj, byłby rad mnie zobaczyć. Sądzę, że pani mu powie o mojem przybyciu i pozostawi jego decyzyi.

— Lecz jestem pewna, że śpi. Zostawiłam go śpiącego.

— Ten dzwonek.

— Uśmiechnęła się.

— Oh, to nie Nigel! To moja francuska pokojowa. jest bardzo kapryśna, wymaga, żeby Hanza jej usługiwał.

Kiedy mówiła, Isaacson przypomniał sobie, co Nigel pisał w swym liście: — Odprawiła swą francuską pokojową, ażeby być swobodną.

— Oh, pokojowa pani! — rzekł.

Głos jego był jeszcze więcej chłody i spokojny.

— Tak.

— Ale możliwe, że to mąż pani dzwonił.

— Nie, nie myślę. Jestem pewna. że nie. Jak Nigel raz zaśnie, nie łatwo się budzi.

— Zdawało mi się, że cierpi na bezsenność.

Jak tylko te słowa zostały wypowiedziane, Isaacson uczuł, że uczynił fałszywy krok. Lecz było już za późno, żeby je cofnąć.

— Dlaczego? rzekła ostro — dlaczego pan pan tak myśli?

— Pani...

— Nigdy tego nie powiedziałam! Nigdy!

Przypomniała sobie, że kiedy byli na balkonie, Nigel powiedział, że słyszy jakieś kroki i pod szminką policzki jej stały się szare.

— Nigdy nie wspominałam o tem ani słowa — powtórzyła z utkwionemi w niego oczami.

— Pani mówiła o uspieniu swego męża, o tem, że grała, żeby jego uśpić. Zrozumiałem więc, że źle sypia i że sen jest dla niego bardzo ważnym. A ten zegar! — Wskazał na strzaskaną szwajcarską zabawkę.

Lecz szarość nie ustępowała z jej twarzy. Wiedział, że nie wierzy i że domyśla się podsłuchanej rozmowy. Zresztą może tak było lepiej, lecz nie chciał okazać, że wie co się w niej dzieje.

— Pani gniew na ten zegar dowodził, że chory źle sypia i że jest bardzo wrażliwym na każdy hałas.

Dwa razy otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć i zamknęła je bez słowa, poczem z widocznym wysiłkiem, głosem zachrypłym, szorstkim, takim, jaki słyszał w świątyni, rzekła:

— Już bardzo późno i jestem doprawdy zmęczona. Nie mogę dłużej rozmawiać. Powiedziałam panu, że Nigel śpi i że nie chcę go budzić. Lekarz, który rozumie jego stan i którego sam wybrał, przyjedzie wczesnym rankiem. Feluka jest tam — wskazała na najbliższe drzwi — i zabierze pana w dół rzeki. Muszę pana pożegnać. Jestem zmęczona.

Opuściła rękę.

— Ta łódź jest moim domem, doktorze Isaacson i proszę ją opuścić.

— A ja nastaję jako lekarz, żeby się widzieć z pani mężem.

Wszelkie pozory między nimi znikły. Nastała walka.

— To impertynencya! — zawołała. — Odmawiam. Powiedziałam moje powody.

— Nie ruszę się stąd, dopóki się nie zobaczę z mężem pani — rzekł Isaacson.

I usiadł spokojnie na otomanie.

— A jeżeli pani sobie życzy, powiem moje powody — dodał.

Lecz się nie spytała, jakimi one były.

— Doprawdy, cała ta rozmowa jest niedorzecznością — rzekła nagle uśmiechnięta swym zwykłym, melodyjnym głosem. — Widocznie pan stał się ofiarą śmiesznych opowieści w Kairze i w Luksorze. Dobrzy ludzie narobili plotek, jak umieją czynić w Londynie. Przypuszczam, że powiedzieli, że Nigel jest konający, a ja go zaniedbuję lub coś w tym rodzaju. I pan, jak jaki lekarz-Don Kichot podniósł kopię i przybiegł na ratunek. Ale — pan nie zna Nigla, jeżeli pan myśli, że będzie mu za to wdzięczny.

Przy ostatniem zdaniu, głos jej, jakkolwiek ciągle dźwięczny, stał się jakby złowrogi.

— Nigel mnie zna, tak jak świat mnie nie zna — ciągnęła spokojnie. Kto źle względem mnie postępuje, bez szacunku należnego jego żonie, przekona się, że stracił w Niglu przyjaciela.

Issacson czuł się jak człowiek, którego nieprzyjaciel odsłonił nagle bateryę i który stoi pod zwróconemi przeciw sobie lufami.

— Pan nie zna Nigla.

Powiedziała to łagodnie, akcentując lekkiem pochyleniem głowy.

— Niech pan uczyni to, o co proszę. doktorze Isaacson. Jeżeli pan dobrze życzy Niglowi, lepiej nie narzucać się jemu wbrew mojej woli w nocy, kiedy jestem zmęczona i proszę, żeby pan już poszedł. Radzę zaczekać, aż jutro pomówię z doktorem Hartley o konsylium, uprzedzę Nigla i pana zawezwę. Tak będzie najlepiej, jeżeli pan chce pozostać w dobrych z Niglem stosunkach...

Usiadła na otomanie tuż przy drzwiach, przez które Hanza wyszedł.

— Nigel i ja mówiliśmy o tem — rzekła ze słodyczą.

— Mówiliście! — zawołał Isaacson.

Ze zwykłą sobie szybkością pojął, jak silną była strategiczna pozycya, którą tak nagle i niespodzianie zajęła. Pragnął zyskać na czasie. Znając swego przyjaciela, wiedział, że to, co powiedziała, było prawdą i ta prawda jeżyła się, jak ostrze bagnetu pośród kłamstw, któremi się otoczyła.

— Mówiliście państwo? jak to może być?

— To bardzo proste. Dwoje kochających się ludzi mówi z sobą o wszystkiem — nawet o swych wrogach.

— Droga Mrs. Armine, tylko bez melodramatu, proszę!

— Melodramat, czy nie, doktorze Isaacsonie, zaręczam panu, że moi przyjaciele są przyjaciółmi Nigla i że wystarczy mi powiedzieć kilka słów, ażeby moi wrogowie poznali, że mają w Niglu nieprzyjaciela.

— Jeżeli pani o mnie mówi, mąż pani nie będzie nigdy moim nieprzyjacielem.

— Czy pan wie, dlaczego nie powiedział panu, że się ze mną żeni?

— To do mnie nie należało.

— Jego instynkt powiedział mu, że pan mi nie ufa. Od tej pory dużo czasu minęło. Człowiek, który kocha swą żonę i jest pewny jej uczucia, nie jest dobrze usposobionym dla tych, którzy jej nie ufają i ją potępiają. Ich nieufność i potępienie spadają na niego, nie tylko obrażają jego miłość, ale i jego dumę. Radzę panu, jak pan przyjdzie do Nigla jako lekarz, niech pan przyjdzie jako mój przyjaciel, inaczej wątpię, żeby pan miał sposobność uczynić mu dużo dobrego.

Spryt Isaacsona, spryt, który zawdzięczał swemu żydowskiemu pochodzeniu, podziwiał zręczność tej kobiety. Dlaczego ze swemi zdolnościami zmarnowała swe życie? Dlaczego nie weszła na drogę, prowadzącą prosto do szczęścia? Bezużyteczne pytania! Żeby na nie odpowiedzieć, trzebaby sięgnąć do samej głębi jej charakteru.

— Jeżeli pan przyjdzie do Nigla wtedy, kiedy pana zawezwę, wszystko będzie w porządku, w przeciwnym razie — nie. Wierz mi pan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

PRZEŁOMACZYŁA
MARYA PTOCZYSKA

50 I.

Nie! To nie Rachela Kabib zabroniła mu myśleć, zapomnieć o tej miłości, która była przecież jedyną radością i celem ich życia. To nie ona wydała okrutny ten rozkaz i kazała mu powiedzieć, że wszystko pomiędzy nimi skończone! Ta, którą ukochał, inną była, to była ta, która na dźwięk jego imienia tak zbladła śmiertelnie i której oczy napełniły się łzami na wieść o jego ocaleniu.

Kochankowie tej miary, co Ranieri Lambertini, nie odstępują od swoich zamiarów jedynie dla tej przyczyny, że ukochana kobieta wyrzekła fatalne słowa: „wszystko skończone". Ale jeżeli usłyszeli te słowa, zastanawiają się nad drżeniem głosu, który je wymawiał i nie wierzą w to wcale, aby naprawdę wszystko było skończone. Ranieri więc także widział tylko oczami duszy śmiertelną bladość ukochanej twarzy i oczy zaszłe mgłą łzawą i mówił sobie, że Rachela kocha go jeszcze tak jak dawniej, że nie złożyła jeszcze ostatecznych ślubów i że może jeszcze opuścić klasztor, aby rozpocząć przy nim nowe życie, pełne miłości i szczęścia.

Gdyby on mógł ją ujrzeć choćby na chwilę! Gdyby mógł jej powiedzieć: „Rachelo, utrata ciebie stanie się moją śmiercią!" Czuł, że tym słowom oprzećby się nie mogła i powróciłaby do niego żałująca i wdzięczna! Ale jakże ją zobaczyć, skoro dostęp do niej był tak surowo wzbroniony!? Starać się o pozwolenie u głównego wikaryusza byłoby rzeczą niebezpieczną i narazić go mogło jedynie na stratę czasu. A Ranieri poza tem mo rozpaczy, jaka go ogarniała, zdawał sobie jasno sprawę, że pozostawało mu tylko piętnaście dni do działania.

Postanowił więc wyjechać do Rzymu, uprosiwszy przedtem Różę, aby, jeżeli to będzie możliwe, raz jeszcze starała się zobaczyć z Rachelą, by wpłynąć na jej postanowienie.

Hrabia Ranieri Lambertini pochodził ze znacznej rodziny patrycyuszów rzymskich, posiadającej rozległe stosunki i wpływy w świecie klerykalnym. Zwrócił się więc do niektórych swoich krewnych, by przy ich pomocy dopiąć do zamierzonego celu. Pozatem zwierzył się ze wszystkiem pewnemu bardzo wpływowemu prałatowi, opowiedział mu detalicznie smutne dzieje swojej dręczącej miłości i powód, dla którego Rachela Kabib schroniła się do klasztoru, by w nim przywdziać suknie zakonne. W rozmowie tej położył Ranieri kładł silny nacisk na brak prawdziwego powołania u młodej dziewczyny, doprowadzonej tylko do tego ostatecznego kroku okolicznościami niezwykłemi. Największą rolę w jej postanowieniu grała według twierdzenia Ranieriego, miłość własna, głęboko urażona i podniecona ambicya i godność kobiety, dotkniętej w najżywotniejszych swoich uczuciach. Młody człowiek przedstawiając swoją sprawę, był tak wymownym, potrafił znaleźć słowa tak przekonywujące i szczere, że stary prałat głęboko wzruszony, obiecał mu tego samego dnia jeszcze pomówić z głównym wikaryuszem papieskim. Ranieri żegnając go wyjaśnił mu jeszcze, że sprawa ta jest niecierpiąca zwłoki, skoro nowicyuszka za dni piętnaście miała złożyć nieodwołalne śluby i że po przekroczeniu tego fatalnego terminu wszelkie usiłowania, podjęte w tym kierunku, będą już bezskuteczne i bezcelowe.

Prałat wywiązał się więc punktualnie z powierzonej mu misyi i już w dniu następnym mógł w części uspokoić gorączkę młodego człowieka. Oświadczył mu bowiem, że główny wikaryusz z zainteresowaniem wysłuchał jego prośby i że znalazł już sposób pewny na rozwiązanie tego zawiłego problemu. Dodał jeszcze, że wykonanie tego sposobu wymagało pośpiechu i że po upływie pięciu – sześciu dni najdalej, będzie go już mógł powiadomić o ostatecznym rezultacie.

Ośm dni jednak ciężkich i strasznych dla Ranieriego upłynęło, zanim ta odpowiedź nadeszła. Główny wikaryusz polecił listownie spowiednikowi przełożonej klasztoru „Zagrzebanych żywcem", by tenże wpłynął na swoją penitentkę i dopilnował, aby raz jeszcze przełożona w sposób macierzyński i życzliwy wybadała młodą nowicyuszkę. Przełożona uczyniła tak, jak jej nakazano. Zamknęła się w swojej celi z siostrą Gracyą i prosiła ją, aby zechciała zastanowić się poważnie nad stanem swej duszy, wybadała samą siebie, czy powołanie jej było rzeczywiste i nieodwołalne, czy też wywołane różnymi ubocznymi światowymi względami.

Lecz Rachela Kabib odpowiedziała na tę przemowę stanowczym, choć łagodnym głosem, że zdecydowaną jest zupełnie złożyć ostatnie śluby zakonne i że czyniąc to, nie zadawała sobie najmniejszego przymusu moralnego, że zapomniała już zupełnie o świecie, z którego wybiegła tu się schronić, w końcu, że osoby, z któremi dotąd miała do czynienia, całkiem jej obojętnemi były i że nad raz już postanowionym faktem swojego życia nie chce się już więcej zastanawiać, uważając, że czyni dobrze, idąc za wolą swoją i pragnieniem.

Odpowiedź ta, podana przez przełożoną swojemu spowiednikowi, przesłana została bezzwłocznie do Rzymu i główny wikaryusz papieski, przywoławszy Ranieriego, zakomunikował ją mu w całości, wykazując bezowocność dalszych nalegań i zabiegów.

Nieszczęsny rezultat planu, omyślanego z taką odwagą i energią – przybił zupełnie młodego człowieka, wtrącając go napowrót w piekło rozpaczy i zniechęcenia. Niezwalczony opór Racheli, nieczuły na żadne względy i przekonywania, wykazał mu, że rana jej serca głębsza była i niebezpieczniejsza, niż się zdawać mogło. Młoda dziewczyna miała charakter silny, jednolity, nie znający kompromisów żadnych i należała do tych istot, które wolą zginąć niż ugiąć się przed czemkolwiek. Ofiarowano jej przecież wszystko, życie, miłość i szczęście – zrażona raz i ugodzona w swojej miłości własnej – odrzuciła wszystko. Cóż więc mogłoby jeszcze wpłynąć na jej wolę?

Jakiś dziwny mistyczny lęk ogarnął młodego człowieka na myśl, że ziemska miłość Racheli zamieniła się zupełnie w głębokie, religijne powołanie, które ją uczyniło zimną i obojętną dla świata.

Kilka dni spędził Ranieri w zupełnem oszołomieniu w domu swojego wuja w Rzymie. Zacny starzec, głęboko przywiązany do niego, napróżno wysilał się, aby znaleźć jakiś środek pocieszenia i ukojenia, ale im prędzej przybliżał się dzień fatalny, tem większe przygnębienie ogarniało młodego człowieka. Stan ten trwał dni kilka. Nareszcie jednej nocy Ranieri, który nie kładł się wcale, zerwał się z fotela, w którym siedział bezwładny i wielkimi krokami zaczął przebiegać swój pokój. Przygnębienie i apatya ustąpiły nagle, a na ich miejsce wystąpił bunt dziki przeciw przeznaczeniu, które się wypełnić miało. Szalone, niezwalczone pragnienie, zapobieżenie ostatecznej katastrofie ogarnęło młodego człowieka. Był już teraz zdecydowany na wszystko, nawet do użycia gwałtu i siły. Owładnęła nim ta rozpaczliwa, krańcowa boleść istoty, która patrzy na konanie ukochanej istoty i która chce ją za wszelką cenę wydrzeć śmierci – a widzi swoją bezsilność i niemoc.

Zaraz nazajutrz postanowił wyjechać z Rzymu, nieczuły na błagania i prośby starego wuja. Zdawało mu się, że tam, w Neapolu, umiera ktoś mu drogi i że jego obecność tam jest koniecznie potrzebna. Wyjazd do Neapolu sprawił mu pewną ulgę. Tam przynajmniej mógł się widzieć z Różą, z tą wierną, dobrą Różą, która była powiernicą ich nieszczęśliwej miłości – mógł podejść aż pod mury klasztoru, gdzie Rachela Kabib zagrzebała na zawsze jedyne szczęście jego życia. Mógł w godzinę szału lub gorączki zapukać do wielkiej, okutej bramy i zażądać widzenia się z nią i gdyby mu tę łaskę uczyniono, rzucić jej w oczy cały ogrom swojego bólu, a może wówczas serce jej zadrżałoby raz jeszcze uczuciami dawnemi i pozwoliłaby mu się zabrać stamtąd. W przeciwnym zaś razie któż mu mógł zabronić zakończyć życie swoje pod murami tego znienawidzonego więzienia?

Wyjechał więc z Rzymu, zdecydowany na jakiś krok ostateczny i decydujący. W stanie silnej gorączki, graniczącej prawie z nieprzytomnością, przybywszy do Neapolu, natychmiast udał się do hotelu, w nadziei, że zobaczy Różę. Na widok jego bladej, rozgorączkowanej twarzy Róża cofnęła się zdumiona i wystraszona. W krótkich, urywanych słowach opowiedział jej cały przebieg sprawy. Róża słuchała w skupieniu i prędko zrozumiała, że młody człowiek doprowadzony był do ostatecznych granic rozpaczy, że znowu rozmyśla nad ostatecznym jakimś środkiem ratunku i że w razie niepowodzenia zdecydowany jest życie sobie odebrać. Bo choć nie mówił o śmierci, śmierć ta widniała już w oczach jego, głosie i każdym ruchu. Róża była istotą prostą i nieświadomą wielu rzeczy; lecz rozpacz prawdziwa ma mowę tak wyrazistą i tak zrozumiałą dla wszystkich, że i Róża zrozumiała ją doskonale. Nie powiedziała jednak nic młodemu człowiekowi, nie prosiła go, nie błagała, by odstąpił od swoich zamiarów, lecz w pokornym jej umyśle zrodził się w jednej chwili zamiar genialny, który miał zniweczyć wszystkie desperackie odruchy Ranieriego.

Na razie, chcąc zabezpieczyć młodego człowieka choć na ten dzień od jakiego ryzykownego kroku, powiedziała mu, że uda się do klasztoru, aby się dowiedzieć, w którym to dniu siostra Gracya przywdziać miała welon zakonny. Ranieri potrząsnął tylko głową, jednakże uchwycił się gorączkowo nikłej nadziei, że Róża przyniesie mu może wiadomość, iż dzień fatalny odłożony został.

Róża wyszła więc, a Ranieri pozostał zamknięty w swoim pokoju i zajął się pisaniem niedorzecznych, szalonych listów do swojego wuja, Roberta Alimeny i Racheli Kabib. W rzeczywistości były to listy pożegnalne, bo nieszczęsny czuł już śmierć kroczącą nad swoją głową.

Dzieło Markusa Hennera, tego nikczemnego garbusa o zielonych oczach, zostało więc uwieńczone skutkiem. Robert Alimena żył, wypędzony z granic kraju swojego pod zarzutem haniebnej zbrodni, Rachela Kabib wyrwana na zawsze życiu i miłości, miała dokończyć dni swoich za murami klasztoru, – a on sam, Ranieri Lambertini, zmuszony był odebrać sobie życie, nie widząc już nic innego przed sobą. Ranieri otrzymał był odpowiedź niejasną na depeszę swoją, wysłaną Robertowi Alimenie w pierwszej chwili radości, wywołanej odnalezieniem Racheli – lecz nie wiedział wcale, że najlepszy jego przyjaciel znajdował się w położeniu analogicznem zupełnie – zaangażowany w śmiertelną walkę z tym samym Markusem Hennerem, któremu Ranieri zawdzięczał swoje nieszczęście.

Młody człowiek kończył właśnie list ostatni, kiedy Róża ukazała się z powrotem z twarzą wzburzoną i pobladłą. Na jej widok młody człowiek zerwał się z fotelu i podbiegł do niej, drżąc na całem ciele.

– Co się stało, Różo? Przynosisz mi mój wyrok nieprawdaż? – zapytał urywanym głosem.

– Nie, jeszcze nic – odparła stara, oddychając ciężko.

– Powiedz mi prawdę! – zawołał gwałtownie. – Chcesz mnie może oszukać przez litość?

– Nie oszukuję pana, Ekscelencyo. – Rachela nie przywdziała jeszcze sukni zakonnych.

– Wiedziałem o tem – westchnął głęboko. – Dziewięć dni upłynęło... mieliśmy ich piętnaście, przed sobą pozostaje sześć jeszcze.

– Nie, panie, nie – wyrzekła Róża, potrząsając głową. – Ona nie złoży ślubów za dni sześć.

– Jakto? Czyż dzień ten nie był nieodwołalnie wyznaczony – zawołał w najwyższem podnieceniu.

– Tak... był wyznaczony... ale podobno opóźniono go.

– Podobno? mówisz podobno Różo! Czy nie jesteś tego pewna!

– Jestem pewna.

– Kto ci mówił? Rachela?

– Nie – nie widziałam jej.

– Więc kto? kto?

– Matka przełożona.

– Widziałaś ją więc?

– Tak.

– I ona ci powiedziała wyraźnie, że obłóczyny nie nastąpią za dni sześć!?

– Powiedziała mi to wyraźnie. Powiedziałam jej, że w dniu tym chciałam przystąpić do spowiedzi i komunii świętej i być obecną, o ile to będzie możliwe, na mszy, która będzie celebrowana na intencyę siostry Gracyi. Odpowiedziała mi: „Córko moja, musisz zatrzymać się jeszcze trochę!"

– Dlaczego? Dlaczego tak się stało? – szepnął Ranieri oszołomiony tą niezwykłą wiadomością.

– Jedna z dwóch nowicyuszek umarła.

– Było ich więc dwie?

(Dalszy ciąg nastąpi).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

Popatrzył na nią przez chwilę, może czek odwołania, skruchy! Tak piękną była z tą główką schyloną, z tym wyrazem pełnym boleści i cichego poddania się. Nie doczekawszy się ani słowa wyszedł z tłumionym westchnieniem.

Teraz dopiero zaczęły się bolesne dni dla biednej Celiny. Mąż jej unikał, przyjaciółka odepchnęła, pan Władysław mścił się coraz dłuższemi wizytami. Ze względu na dekorum, musiała być niemal ciągle z narzeczonymi, czuła się chorą, wyczerpaną i prawie życzyła sobie zakończenia ślubem tej tragikomedyi. Coraz większa apatya ogarniała ją, przestała wierzyć, aby jej się udało zdemaskowanie tak przebiegłego przeciwnika. Myślała nieraz o tym drugim, mówiła nawet o nim z agentem policyjnym, ale jakież mogła dać wskazówki? że nosi czerwony krawat? Nie wiedziała, ani jak się nazywa, ani czem się trudni, nie miała najmniejszego śladu, po którym mogłaby trafić do niego.

Skończył się karnawał, w którym żadnego nie brała udziału. Nadchodziła wiosna, a jej ożywcze tchnienie, wzmagało tylko smutek Celiny. Rok upłynął od jej ślubu, a ona nie tylko nie postąpiła ani krokiem w najgłówniejszem zadaniu swego życia, lecz w dodatku zrujnowała zda się na zawsze swoje szczęście małżeńskie. Nieraz już żałowała, że wówczas, kiedy jeszcze pragnął miłości i zgody, nie okazała się przystępniejszą, teraz już było za późno. Pan Michał zupełnie o nią nie dbał, całe wieczory spędzał za domem, nawet nie wiedziała, kiedy wracał, gdyż sypiał w swoim gabinecie.

Jak długo pewną była miłości męża, otoczona jego staraniami i pamięcią, nie zastanawiała się nad własnem sercem. Lecz na co teraz zdało się myśleć o tem, na co rozpamiętywać każdy dowód miłośc, kiedy wszystko to minęło bezpowrotnie. A jeśli czasem nadzieja, owa niestrudzona wieszczka, która przebywa w najsmutniejszem nawet sercu, szeptała jej! – może jednak wróci! to niepowściągniona duma, która i teraz zniewalała ją do milczenia i udawania obojętności mówiła; jeżeli rzeczywiście mógł tak prędko zapomnieć, jeżeli zdradza przez lekkomyślność, to nie przebaczyłabym, choćby się nawrócił i na kolanach o to błagał. I na samą tę myśl wszystka krew się w niej burzyła, gniew ją ogarniał i czuła, że wybaczyłaby raczej samotność i wdowieństwo, niżeli dalsze pożycie z człowiekiem, któremu już nigdy wierzyćby nie mogła. Zdrowie jej zaczęło się chwiać od tych ciągłych walk i zwątpień, a przywołany lekarz radził wypoczynek, zmianę wrażeń, wyjazd gdzieś w góry. Wybrała Zakopane, lecz do tego trzeba było namówić również Helenkę. Pochłonięta swojemi walkami od dłuższego czasu nie zwracała uwagi na tę ostatnią, spostrzegła więc, że i Helenka zmieniła się jakoś!

Już teraz nie wyglądała tak gorączkowo wizyty pana Władysława, często wychodziła z domu przed jego przybyciem, zdawała się być gniewną, niespokojną, a przedewszystkiem znudzoną. To też Celina nie potrzebowała długo jej przekonywać, przystała od razu. Ale bo też ostatniemi czasy życie jej było nieznośne – mówiła do siebie – żadnych wielbicieli prócz narzeczonego, który o jednym tylko umiał mówić, o nienawiści do Celiny i o swych planach na przyszłość. I to ma słuchać całe życie? o nie, dosyć tego! Straciła humor, traci urodę, gdyż czuje, że zbrzydła, że zmizerniała i dla czego, dla kogo? Dla miłości? Ależ te wszystkie miłości to nie dla niej! ona umie tylko żyć w słońcu, jak kwiat, albo motyl. A słońcem dla niej to rozrywka, śmiech, wesołość! czyż to da mąż, czyż warto wiązać się tak młodo?

Zamyśliła się i zadąsała.

– Niechno wprzód pojadę, a potem pomyślę – dodała w końcu.

Kiedy w kilka dni potem wsiadła do wagonu zobaczyła zielone pola i hen gdzieś na skraju horyzontu rysujące się góry, odetchnęła pełną piersią, poweselała i nagle w jej sercu odezwała się dawna przyjaźń dla Celiny. Zaczęła mówić, śmiać się i wreszcie zwierzyła się Celinie, że pan Władysław znudził ją strasznie, że już teraz innem okiem patrzy na niego – że ojciec miał słuszność i że kto wie, może nawet zerwie z nim, naturalnie listownie, bo to jakoś łatwiej – dodała naiwnie. No i cóż ty na to Cesiu? – zapytała wpatrując się w twarz przyjaciółki.

– Zdumiona jestem – odparła Celina patrząc na nią ze zdziwieniem – cóż to się stało?

– Znudził mnie – powtarzała Helenka – zbrzydł ostatniemi czasy, papa nie życzy sobie, ot wszystko razem. Zresztą czy ja wiem? czuję, że go już nie kocham i koniec.

Celina ledwie wierzyła własnym uszom, to co ją tyle męki kosztowało, tyle zmartwienia, robiło się samo przez się. Jednak niepojętą była dla niej taka zmienność uczuć, rzekła więc po namyśle.

– Czy dobrze rozważyłaś wszystko, czy nie będziesz tego kroku żałowała?

– Masz tobie, jeszcze gotowaś mnie namawiać! – zawołała Helenka nadąsana – myślałam, że ucieszę cię tą wiadomością, przecież tak przeciwną byłaś temu związkowi.

– Tak jest, mam to głębokie przekonanie, że ten człowiek nikogo nie uszczęśliwi, a jednak...

– Nad czem tu tak długo się zastanawiać – rzekła zniecierpliwiona Helenka – kochałam go, a teraz nie kocham, i ot całe wytłómaczenie.

– Ależ Helenko, jeżeli tak zawsze będziesz postępowała...

– Co tam zawsze, przecież to był rok próby! Do znudzenia powtarzaliście mi to...

– Czy zraził cię czem, okazał jakąś wadę? – badała.

– Znudził mnie, a także zraził wiecznemi szyderstwami, czy uwierzysz, że on i ze mnie zaczynał szydzić?

Celina wiedziała czem ten związek był dla pana Władysława, pomyślała o marności wszystkich zabiegów ludzkich i mimowoli szepnęła:

– On to bardzo odboleje!

– Odboleje i żal mu będzie, ale nie mojej osoby, tylko mego posagu – odparła Helenka szyderczo.

Więc i to poznała! Rada była, że Helenka oswobodziła się, ale zanadto czuła się zmęczoną walką przeciw temu małżeństwu i końcowem swojem przezwyciężaniem się, aby się mogła cieszyć. Pochyliła głowę i utonęła w milczącej kontemplacyi.

* * *

– Celina potrzebując ciszy i spokoju dla swego osłabionego zdrowia, nie chciała stawać w pensyonacie. Wynajęła willę pod lasem, nie zbyt oddaloną od głównej artyleryi życia towarzyskiego i tam ulokowała się z Helenką i ze służbą. Helenka pod opieką swych licznych znajomych, bywała na koncertach, a Celina siadywała w lesie, czytając, marząc i napawając się ożywczą wonią jodeł i świerków. Wypoczywała moralnie i fizycznie.

Wkrótce już okazały się błogie skutki tego przestawania z naturą. Osłabienie ustępowało, młoda krew zaczynała szybciej krążyć po żyłach i zabarwiała policzki zdrowym rumieńcem. Jaśniej jakoś teraz na świat spoglądała, chwilami zdawało jej się, że się budzi z jakiegoś ciężkiego snu.

Wieczorem zabawiała ją Helenka swym dziecinnym szczebiotem, dotykającym tysiąca fraszek, błahym i lekkim jak ona sama.

– Wiesz – mówiła nieraz wracając z jednodniowej wycieczki – chłopcy dla mnie głowy tracą, a te uwielbiania i grzeczności, bawią mnie ogromnie. Pan Antoni naprzykład w ogień skoczyłby za mną, te szarotki zrywał dla mnie, wieszał się nad przepaściami i pewny jest, że je zasuszę i schowam na pamiątkę, a ja połowę pogubiłam, a drugą połowę wyrzucę. Ach jak to dobrze być młodą, ładną i bogatą.

– Dodaj jeszcze i wolną.

– Zapewne, bo cóż na przykład tobie z miłości i urody, kiedy zazdrosny mąż nie da ci użyć niczego.

– O w tem to się mylisz, mój mąż wcale nie jest zazdrosnym – rzekła Celina rumieniąc się.

– Ależ tak, mówię ci, nieraz już to zauważyłam, no ale i zazdrość można wybaczyć, jeżeli jest się tak jak ty kochaną. Jaki on spragniony twego widoku, uśmiechu, rozmowy, jak gdyby dopiero co cię poznał! Niewiem czem go tak trzymasz, chyba tą twoją powściągliwością, skutkiem której nigdy się nie wie jakie są właściwe twoje uczucia.

– A mnie się zdaje, że jestem tak szczerą, jak mało która z kobiet – odparła Celina, przypominając sobie rozmowę z mężem, w której odsłoniła się cała i wzamian została odepchniętą.

Helenka zaśmiała się.

– Ty szczerą, ty? ależ samo usposobienie twoje sprzeciwia się temu! Zamyślona, małomówna, ważysz nieledwie każde słówko. Człowiek szczery to tak jak ja, paple co mu przyjdzie na myśl i żadnej tajemnicy utrzymać nie umie.

– A jeśli tak pojmujesz szczerość – rzekła Celina z uśmiechem – to składam broń przed tobą.

– Co prawda, mówiła Helenka dalej, nie zważając na przerwę – wyładniałaś ostatnimi czasy, a w tych jasnych sukienkach bardzo ci do twarzy. Szkoda, że ja zawsze jeszcze muszę ubierać się na czarno...

– Tobie, jako blondynce najładniej w czarnem...

– To też tem się pocieszam! – i nie zważając już dalej na Celinę, zaczęła robić projekt i rozważać, co sobie sprawi po skończeniu żałoby.

Celina zamyśliła się! i ona zauważyła, że mąż zwracał się na nowo do niej, że starał się jej podobać, odgadywał jej myśli. Serce biło jej z radości, a jednak powściągała się, bo czuła, że nie będzie szczęśliwą dopokąd nie dowie się, że kochał ją zawsze mimo pozornej obojętności, czyli też zapomniał o niej na prawdę, a wraca teraz dla tego, że znowu wyładniała, zdrową jest i wesołą. Prawdomownym jest, myślała – więc go zapytam szczerze, odpowie mi z równą szczerością, a wtedy – uśmiechnęła się, a błogi obraz harmonii i szczęścia stanął przed oczyma jej duszy.

– W kilka dni później przyjechał pan Michał, a z jego przybyciem ożywił się ruch towarzyski w willi Celiny.

– Znalazło się mnóstwo znajomych. Zwiedzano śliczne dolinki w bliskości Zakopanego, robiono dalsze trochę wycieczki w wesołem towarzystwie. Celina teraz dopiero, przy wzmocnionem zdrowiu, poznawała czarującą przyrodę Tatr, która czasem ją zachwycała, a czasem przygniatała swym majestatem.

Raz na dalszej wycieczce po nocy spędzonej w schronisku, zerwała się o świcie z posłania, aby zobaczyć wschód słońca na tych wysokościach. Oddaliła się od schroniska i usiadła na omszonym kamieniu! Nad nią rozciągało się seledynowe niebo z jednej tylko strony obrzeżone purpurowym rąbkiem, w koło niej głazy rozrzucone tytaniczną ręką. Nędzny kosodrzew pełzał po ziemi, nigdzie ani kwiatka, ani trawy! Nagie skały, głębokie przepaście, gdzieś w dole huczące potoki. Celina drżała od chłodu i mimowolnej trwogi. O jakże te widoki przez poetów opiewane, niepodobne były do tej wsi ukochanej, gdzie urodziła się i wychowała. Zielone łąki pokryte kobiercami traw, faliste wzgórza z łanami pszenicy, lasy w których dęby stuletnie mięszały się z brzozą, „w białą sukienkę ubraną".

Tymczasem niebo mieniło się w różowe tony, aż wreszcie rozbłysło całe w złocie i potężny promień słońca rzucił o na ziemię.

Celina pochyliła głowę kąpiąc się w blasku i cieple, w tych promieniach wszystko inną przybrało postać, kamienie błyszczały jak roztopione srebro, kosodrzew odbijał ciemną zielenią, potok mienił się w kształt drogich kamieni. Nagle usłyszała za sobą głos pana Michała:

– Przecież znalazłem cię, przeszukałem za tobą wszystkie pyrcie i kamienie.

Rzeczywiście wyglądał jakby zmęczony, popatrzyła na niego zdziwiona, a on dodał:

– Góry są niebezpieczniejsze dla tych co jak ty, zwiedzają je poraz pierwszy. – Celina zarumieniła się – nie jest ci zimno? – pochylił się nad nią...

– Wcale nie – rzekła powstając z kamienia i pomału idąc w stronę schroniska.

– Zastaniesz tam nie bardzo miłą niespodziankę – mówił postępując obok niej – przybyli nowi wycieczkowicze, a między nimi pan Władysław.

Stanęła i spojrzała na niego z niepokojem.

– A cóż Helenka...

– Nie wiem, et co tam ona – dodał machnąwszy ręką – dziś tak, a jutro inaczej, ot biegnie naprzeciw nas.

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Powiada mędrzec Pański, że „kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbierze“. Takich nieszczęśliwców nazywamy pospolicie waryatami, a dzielą się oni urzędowo na dwie kategorye, tak zwanych „niebezpiecznych“, którzy mogliby szkodę wyrządzić społeczeństwu i „spokojnych“. Dla tych pierwszych pobudowano zakłady w Kulparkowie, Kobierzynie i Tworkach, gdzie, kto ma protekcyę, pozostaje pod opieką lekarską, ci drudzy, a są ich setki tysięcy, pozostawieni są sami sobie i opiece Boskiej. Los tak zwanego waryata, to jest osoby, uznanej za niego urzędowo, nie tak bardzo opłakany, jak mogłoby się komu wydawać. Budzą oni, co prawda politowanie i współczucie bliźnich sami ze siebie są przecież najzupełniej zadowoleni, jak to mieliśmy swojego czasu sposobność skonstantować choćby tylko na znanym w Krakowie Pawełku, który „jeździł do cesarza do Wiednia na kawę“ i było mu z tem zupełnie dobrze. O ich wewnętrznem zadowoleniu świadczą ich przeważnie wesołe miny i dobra tusza, co jest dowodem, że nic im zbytnio nie dolega.

Ale oprócz tych „urzędowych waryatów“ jest jeszcze druga kategorya, mająca na pozór wszystkie klepki mózgowe w należytym porządku, a nawet przeświadczona o swej genialności, czemu na każdym kroku daje wyraz. Ci ludzie, uchodzący za zdrowych umysłowo, okazują przecież bardzo często zboczenia umysłowe, przybierające niejednokrotnie bardzo ostrą formę i stają się naprawdę niebezpiecznymi dla swogo otoczenia. Niestety, za „urzędowych“ waryatów uznać ich nie można, choć właściwe dla nich miejsce w Kobierzynie, Kulparkowie lub Tworkach.

Do ich rzędu zaliczyć należy pewnego znanego warszawskiego publicystę, cierpiącego stale na manię prześladowczą objawiającą się w ten sposób, że wszystko, co pochodzi z byłej c. k. Galicyi, a dziś Małopolski, to dyabła warte, że tam łotr na łotrze jedzie i łotrem pogania. Cierpienie to stało się u niego chronicznem, nie pomija też żadnej sposobności jaka się nadarzy, aby na były zabór austryacki, a właściwie na jego mieszkańców, wylać całe potoki obelg i wyzwisk i odsądzić ich w czambuł od czci i wiary. Te wymyślania stały się dlań chlebem powszednim, bez nich żyćby nie potrafił. Jego zdaniem ta część Polski zasługuje na zniszczenie ognistym deszczem, jak ongi Sodoma i Gomora, w następstwie możnaby pomyśleć o zaszczepieniu tutaj nowego życia, oczywiście według jego rad i wskazówek. I gdyby nawet znalazł się biblijny Lot, który prosiłby go o zmiłowanie nad nieszczęśliwym krajem, gdzie przecież znajdzie się może bodaj z pięciu mężów sprawiedliwych, usłyszałby odpowiedź:

— Nie!... Tam niema ani jednego!... Tam są same łotry i łajdaki, niegodni nazwiska człowieka.

Gdyby jednak Opatrzność chciała w samej rzeczy zadośćuczynić żądaniu warszawskiego publicysty i tę zgangrenowaną bolączkę, jak on twierdzi, wyciąć z organizmu światowego, wtedy dopiero stanąłby bezradny, pytając sam siebie:

— A o czemże mam teraz pisać, skoro mnie pozbawiono mego ukochanego konika, na którym tak mi było wygodnie ujeżdżać...

I dopiero wtedy mógłby naprawdę zachorować i urzędowo zostać uznanym za kandydata do Tworek.

Ostatni jego występ z pierwszych dni lipca poszedł trochę za daleko i wywołał wyrazy oburzenia nietylko w tej stale plugawionej przezeń części polskiego społeczeństwa, ale nawet i wśród jego warszawskich przyjaciół. Chwali go jedynie Nowaczyński, prawdopodobnie dlatego, iż sam pochodzi z byłej Galicyi.

Dziwnie bardzo przedstawia się zjednoczenie Polski, jeśli się zważy, że każdy z byłych zaborów ma takich swoich panów Rabskich, którzy po za swą dzielnicą nic nie widzą, a każdą inną uważają za niewartą. Poznańczyk z lekceważeniem wyraża się o Kongresowiaku i byłym Galicyaninie, Kongresowiak kręci głową nad tamtymi dwoma, a były Galicyanin nie żałuje gorzkich słów pod adresem swych współbraci i to często, powiedzmy szczerze, zupełnie zasłużenie. Zamiast się trzymać razem, sami się dzielimy, ułatwiając w ten sposób naszym wrogom wzięcie nas za łeb, a niema między nami świętego Jana Ewangelisty, który upominałby nas słowami:

— Dziateczki, miłujcie się wzajemnie!...

A sąsiedzi, widząc, co się u nas dzieje, nie mają nas i za „psie poszycie“ i zupełnie się z nami nie liczą, a mamy to do zawdzięczenia takich panom Rabskim i jemu podobnym, którzy zamiast łączyć, waśnią i dzielą.

A ta biedna Galilea, którą pan Rabski przedstawia w tak czarnych kolorach, a mieszkańców jej uważa za ostatnich wyrzutków społeczeństwa, kwalifikujących się co najwyżej na hak, nie jest przecież gorszą od innych dzielnic. Podzielono nas swojego czasu na trzy części i oddano pod trzy panowania, a te stosunki odbić się musiały w fatalny sposób na naszem społeczeństwie, wytwarzając w niem różnice, skoro teraz, po zjednoczeniu Polski powinny stanowczo zniknąć. Jeśli mamy do czego doprowadzić, to tylko „jednością silni“, a do tego bynajmniej nie prowadzi działalność takich panów Rabskich i jemu podobnych. Jest on typem prawdziwego „Wszechpolaka“, ale nie godnym naśladowania, wszechpolskość swoją manifestuje bowiem w ten sposób, że ze wszystkimi trzema byłymi zaborami łączy go coś, pochodzi bowiem z Poznańskiego, stale mieszka w Kongresówce, a dawny zabór austryacki, jest tym wyrostkiem robaczkowym, który stale mu spokoju nie daje i staje się przyczyną ciągłych bredzeń i majaczeń, nie przynoszących sprawie polskiej żadnych korzyści, szkodzących jej natomiast przy skonsolidowaniu się wewnętrznem, a także i w reputacyi za granicą.

Ogólne oburzenie, jakie wywołał ostatni występ pana Rabskiego, podziała może nań otrzeźwiająco, dojdzie może do przekonania, że i Poznańczycy oraz Kongresowiacy mają też swoje wady, a między byłymi Galilejczykami znajdują się także ludzie uczciwi i mogący się na coś przydać. Jeśli nie, będziemy musieli przyznać, że jest nieuleczalny i niebezpieczny, niebezpieczniejszy nawet od tych, których lokuje się w Tworkach lub Kobierzynie. Sułtan turecki odznaczał w swoim czasie ludzi zasłużonych i swych ulubieńców honorowymi kaftanami, wdzięczne polskie społeczeństwo dla pana Rabskiego powinno się postarać o kaftan, ale tak zwany „bezpieczeństwa“.

Kronikarz, należący do rzędu tak spostponowanych przez pana Rabskiego mieszkańców byłego zaboru austryackiego, musi stanąć w obronie tej dzielnicy, która, jak się wyżej rzekło, nie różni się w niczem od dwu pozostałych, ma zatem wady, tak jak i one, ale też ma i swoje zalety. Jedyną naszą winą jest, iż nie umiemy się tak głośno reklamować, jak naprzykład Królewiacy i nie jesteśmy do tego stopnia przeświadczeni o swej nadzwyczajnej wartości, jak Poznańczycy, ale to zrobiła z nas stuletnia przeszło niewola, w ciągu której wpajano w nas ustawicznie, że jesteśmy marnotrawnymi synami śp. mamy Austryi, która nas kocha serdecznie, a my jej sprawiamy tylko kłopoty i zmartwienia. Ta nasza potulność w tym kierunku, nieraz nam się już dała we znaki, ona też była powodem, że dotąd nie reagowaliśmy zbyt głośno na elukubracye pana Rabskiego, wszystko jednak musi mieć swój koniec, ma go zatem i nasza cierpliwość, z jaką dotąd znosiliśmy wszystkie jego obelgi skierowane pod naszym adresem. Kto chce się bawić w mentora, powinien sam dawać przykład swem życiem, a na takiego pan Rabski najzupełniej się nie nadaje. Gdybyśmy chcieli iść w jego ślady, wtedy dopiero miałby świat cały uzasadniony powód do wyrażania się o nas w taki sposób, jak on to stale czyni.

Nie jest wykluczonem, że na pana Rabskiego źle podziałały kanikularne czasy i zbytnie upały, które przyczyniają się do ostrzejszego występowania objawów niektórych cierpień, ale jest na to rada w postaci zimnych natrysków, o których skuteczności współczesna medycyna bardzo się pochlebnie wyraża.

Choć więc wakacye i powinnoby się odczuwać brak materyału, narzekać na to nie możemy, zawsze bowiem znajdzie się jakiś poczciwiec, który da temat mogący wystarczyć do zapełnienia trzech szpalt kroniki tygodniowej. Zajęcie się powyższą sprawą popsuło jednak ułożony z góry przez kronikarza „porządek tygodniowy“, który na pierwszem miejscu stawiał uwagi na temat dziwnej jakiejś obojętności naszego społeczeństwa z okazyi rozmaitych obchodów i uroczystości, podczas których powinno się głośno manifestować swe uczucia a nie kryć ich gdzieś w głębi serca, o ile tam się oczywiście znajdują.

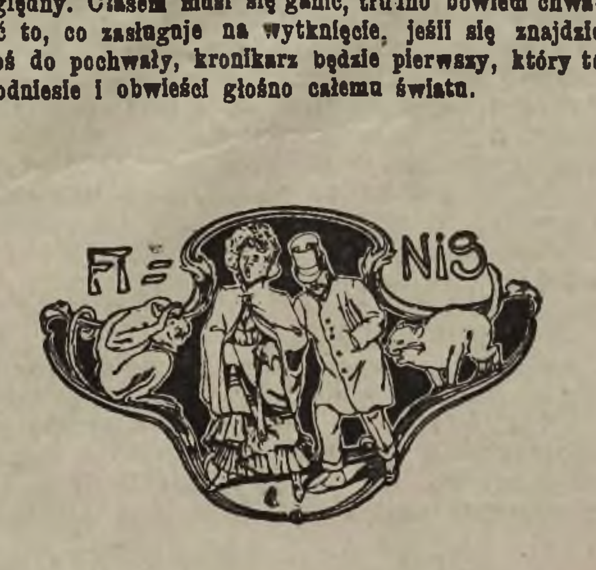
W lipcu naprzykład obchodziliśmy trzy uroczystości, z tych wprawdzie tylko jedną naszą, to jest rocznicę grunwaldzką, dwie zaś obce, w każdym przecież razie bliżej nas obchodzące, a wszystkie wypadły stosunkowo bardzo mdło. Za dawnych czasów obywatele Krakowa jakoś żywszy udział brali w podobnych manifestacyach, obecnie przechodzą one zanadto cicho i robią wrażenie pewnego rodzaju odrabiania pańszczyzny, bez którego możnaby się obejść bardzo wygodnie. Być może, że wpływa na to poniekąd i pora letnia, w której większość Krakowian opuściła mury miasta. Zwłaszcza święto narodowe francuskie, które obchodziliśmy w dniu 14 lipca, nasunęło pewne refleksye, niezbyt pochlebne dla Krakowian. Odbyła się msza polowa na Rynku przy udziale przedstawicieli władz i wojskowości, którzy przybyli „z urzędu“, ogół mieszkańców, wezwany przez Komitet urządzający do wzięcia jak najliczniejszego udziału w święcie bratniego narodu, reprezentowała niezbyt liczna garstka ciekawych, których ściągnęła muzyka. Zupełnie tak samo przedstawiała się dekoracya miasta w tym dniu, choć nawoływano w pismach, aby obywatele przystroili swe domy flagami o barwach narodowych i francuskich. Jak skonstatowaliśmy w ulicy Floryańskiej naprzykład zastosował się do tego wezwania tylko jeden właściciel realności, w Rynku ozdobiono tylko dwa budynki, z tych jeden rządowy, ulica Szewska i Karmelicka, a z niemi i inne, nie różniły się niczem od swego codziennego wyglądu. Magistrat wywiesił wprawdzie flagi na swych budynkach, gdyby jednak kogo zapytano, o jakich barwach, znalazłby się w wielkim kłopocie, świeżość ich bowiem i kolory przedstawiają bardzo wiele do życzenia.

Kto ponosi winę opieszałości, na to odpowiedzieć nie trudno. Magistrat jest w pierwszym rzędzie powołany do tego, aby właścicielom realności przypomnieć ich obowiązki, a do tego nadają się przedewszystkiem komisaryaty obwodowe, rozporządzające odpowiednią ilością sił, które mogłyby obejść swój okręg (co nawet wyszłoby im na zdrowie...) i przypilnować, aby zadośćuczyniono wezwaniu. W tem tylko trudność, kto się w domu ma tem zająć, gdyż gospodarz albo zajęty „paskiem“, albo na świeżem powietrzu, a stróż ma nabitą głowę krzywdą, jaką mu wyrządzono, każąc zamiatać chodniki i radzi nad tem, jakich użyć środków, aby się postarać o uchylenie tego nakazu, ewentualnie zaś uzyskać za to osobne wynagrodzenie ze strony gminy, którą wyręcza, według swego przekonania, w załatwianiu jej czynności. Chorągwi nie brak, jak o tem mogliśmy się przekonać za czasów austryackich, kiedy z takim zapałem święciliśmy różne „zwycięstwa“. Wówczas wystarczyło zwykłe wezwanie, a nad miastem powiewał cały las flag i chorągwi o najrozmaitszych barwach. Być jednak może, że z powodu braku płótna i podobnych materyi, poszły chorągwie na praktyczniejszy domowy użytek, drążki zaś na podpałkę w piecu.

Rocznica ogłoszenia niepodległości Ameryki, którą w innych miastach święcono tak okazale, przeszła w Krakowie również bardzo cicho. Wydaje się to zaś tem dziwniejsze, że Kraków i jego obywatele znani są ze swej praktyczności, a, choć gród podwawelski nazywany bywa „sercem Polski“, żołądek ma tu większe znaczenie, niż serce. A właśnie Stanom Zjednoczonym żołądki nasze mają bardzo wiele do zawdzięczenia, gdyby bowiem nie ich pomoc, śpiewalibyśmy dziś daleko cieniej, niż śpiewamy. Należałoby się zatem spodziewać, że gdzie żołądek wchodzi w grę, a nie samo serce, objawy radości i wdzięczności będą tem żywsze. A jednak tak się nie stało. Amerykańską rocznicę obchodziła właściwie tylko wojskowość, ogół mieszkańców przeszedł nad nią do porządku dziennego.

Nie lepiej wypadł i obchód grunwaldzki, nawet gorzej, gdyż w Rynku powiewała tylko jedna flaga, w ulicy zaś Floryańskiej, którą przeciągał pochód i na Placu Matejki nie widzieliśmy literalnie ani jednej. I Magistrat zapomniał ozdobić Bramę Floryańską i Rondel. Udział uczestników był również bardzo słaby, każdy z obywateli wolał bowiem pośpieszyć zamiast na narodową uroczystość na tradycyjne flaki, bojąc się, by mu ich, z powodu ograniczonej ilości porcyi, przypadkiem nie zjedzono.

Zarzuci kto może kronikarzowi, że urąga panu Rabskiemu, a sam „kala własne gniazdo“, otrzyma na to odpowiedź, że gdy tamten wymyśla byłym Galicyanom bez powodu i jest wobec nich bezwzględnym, kronikarz zabiera się do tego tylko wtedy, gdy ma słuszny powód, a czyni to zawsze w sposób bardzo oględny. Czasem musi się ganić, trudno bowiem chwalić to, co zasługuje na wytknięcie, jeśli się znajdzie coś do pochwały, kronikarz będzie pierwszy, który to podniesie i obwieści głośno całemu światu.



W tym celu postanowiono urządzać we Lwowie stale doroczne „Targi Wschodnie", połączone z jarmarkami, a pierwszy z nich ma się odbyć w dniach od 25 września do 5 października br. Zadaniem ich jest zapoznanie z całokształtem wytwórczości polskiej, umożliwienie i ułatwienie wymiany towarów między uprzemysłowionemi, a rolniczemi dzielnicami Polski, oraz utorowanie drogi dla ekspanzyi polskiego przemysłu i handlu na rynki zagraniczne, a przedewszystkiem na Wschód.



Nowy rektor Politechniki warszawskiej: Prof. Antoni Ponikowski, obrany rektorem na rok akad. 1921—22

„Targi Wschodnie" ukonstytuowały się przy współudziale Izby Handlowej i Przemysłowej, Rządu i Gminy m. Lwowa, jako Spółka z ogr. odp. Celem ich jest urządzanie periodycznych jarmarków w wielkim stylu, połączonych z wystawą wzorów i próbek. Targi będą się odbywały na Placu Powystawowym, zajmującym olbrzymią przestrzeń, na której prócz istniejących już pawilonów z „Wystawy Kościuszkowskiej", staną wszystkie budynki i kioski wystawowe. Staraniem Zarządu „Targów Wschodnich" będzie doprowadzony na Plac Powystawowy tor przemysłowy, ponadto do użytku uczestników będą służyły urządzenia pocztowe, telegraficzne i telefoniczne. Będą też czynne kantory banków dla ułatwiania transakcyi finansowych.

Nowy rektor Politechniki Warszawskiej.

Z okazyi kończącego się roku akademickiego najwyższe nasze uczelnie, mające przywilej autonomicznego rządzenia się, przystępują do wyboru rektorów na rok następny 1922.

Rektorem warszawskiej Politechniki na rok przyszły wybrany został Antoni Ponikowski, profesor tejże Politechniki i były minister oświaty, osobistość dobrze znana z swej działalności naukowej i społecznej w najszerszych kołach. Wybór na to zaszczytne a odpowiedzialne i trudne stanowisko powitać należy z radością, zapewnia bowiem najwyższej naszej szkole technicznej dalszy pomyślny rozkwit w czasach, gdy sił fachowych, należycie wykształconych, tak nam potrzeba w kraju, podnoszącym się zwolna z gruzów, jakimi pokryła go wojna. Politechnika warszawska obok swej lwowskiej siostrzycy, mającej za sobą tak piękne tradycye, to dwa najwyższe polskie zakłady naukowe, kształcące młodzież, poświęcającą się zawodom technicznym, do niedawna jeszcze u nas należycie niedocenianym. Obecnie, Bogu dzięki, zapatrywania w tym kierunku zmieniły się gruntownie, w poszczególnych działach pracy technicznej posiadamy siły pierwszorzędnego znaczenia, nie ustępujące w niczem tak głośno reklamowanym technikom zagranicznym, zwłaszcza zaś niemieckim. Nasi technicy pracują cicho, a wydatnie, ich drogowskazem jest osiągnięcie jak największych realnych korzyści dla dobra kraju, społeczeństwa, przedewszystkiem zaś uczącej się młodzieży, by mogła znaleźć w kraju to, czego dawniej musiała szukać za granicą.

Jednym z takich pracowników jest profesor Ponikowski. Uznanie zasług, jakie położył na polu technicznego wykształcenia młodzieży polskiej, powołało go w swoim czasie na fotel ministra oświaty, obecnie zaś oddaje mu w ręce kierownictwo Politechniki warszawskiej.

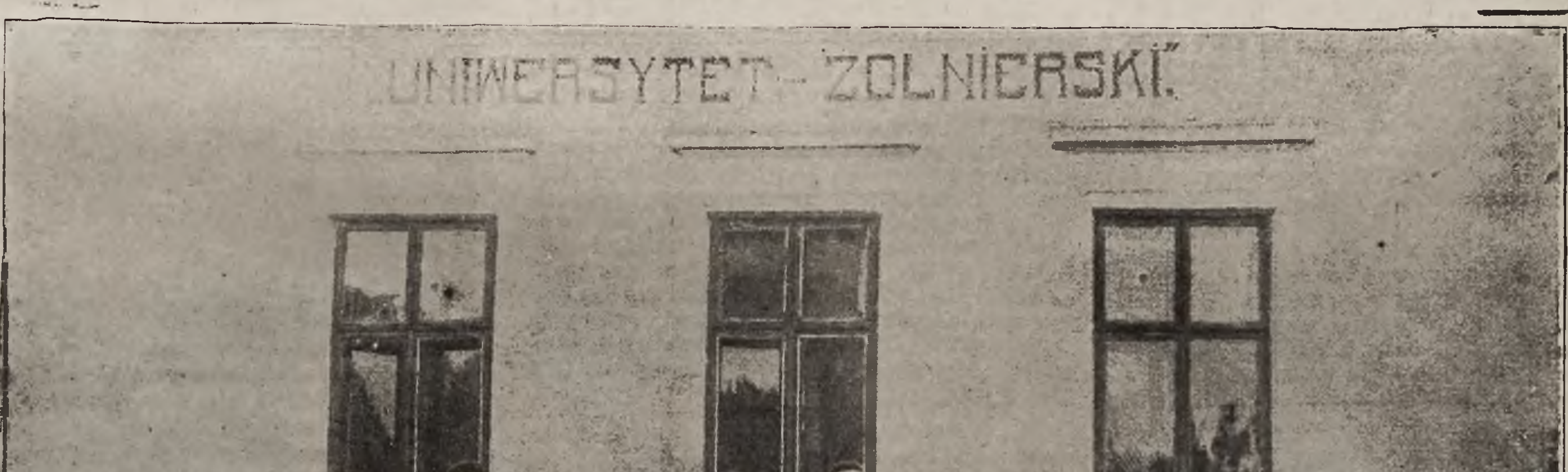
Konszachty angielsko-niemieckie.

Na początku wojny światowej i do niedawna jeszcze głosiła Anglia całemu światu, że jedynym jej celem jest zupełne złamanie przemocy niemieckiej i niemieckiego militaryzmu, tak groźnych dla



Konszachty angielsko-niemieckie: Illustracya „Berliner Ill. Zeitung" przedstawiająca obecne braterstwo między Niemcami a Anglikami na Górnym Śląsku.

ogólnego pokoju. Lloyd George występował wówczas w roli nieprzejednanego wroga Niemiec i oświadczał, że dopóty nie spocznie, póki zbrodniarze niemieccy nie zostaną przykładnie ukarani, a cesarz Wilhelm nie znajdzie się na Dyabelskiej Wyspie lub jako więzień w murach londyńskiego Toweru, gdzie dlań już przygotowywano „apartamenty".



Praca oświatowa w naszej armii: Grono nauczycielskie oraz uczestnicy Kursu wydziałowego, urządzonego staraniem Uniwersytetu Żołnierskiego w Nowym Sączu.

Z czasem uspokoił się jednak i widocznie doszedł do przekonania, że Niemcy nie są tak groźne dla interesów angielskich, jak mu się pierwotnie wydawało. Nastąpiła zatem ogólna zmiana frontu, angielski premier stał się nagle zupełnie jawnym przyjacielem i poplecznikiem Niemców, na co świat cały, a przedewszystkiem Francya, nie mogły patrzeć spokojnie. Sympatye angielskie dla Niemców widoczne są zwłaszcza w sprawie górnośląskiej, w której Anglia wbrew opinii innych mocarstw sprzymierzonych, wystąpiła otwarcie po stronie Niemiec, gwałcąc w ten sposób postanowienia traktatu wersalskiego, choć sama należy do jego twórców i rzekomo domaga się najściślejszego jego wykonania.

To stanowisko Anglii wobec Niemiec dodaje tym ostatnim otuchy, że sprawa ich nie jest jeszcze ostatecznie przegraną i że mogą liczyć każdej chwili na pomoc swego cichego alianta, związanego z niemi wspólnym interesem.

Na światowej arenie politycznej popiera Anglia gorąco uroszczenia niemieckie pod pozorem, że chce im w ten sposób ułatwić spełnienie przyjętych na się zobowiązań, w gruncie rzeczy zaś dlatego, ponieważ widzi w tem swój własny interes. Niemcy odpłacają też Anglikom wzajemnością i, o ile na Śląsku występują wrogo przeciw okupacyjnym wojskom francuskim i delegatom francuskiego rządu, o tyle Anglikom i jednako z nimi myślącym Włochom nie szczędzą na każdym kroku dowodów przyjaźni i uznania. Świadczy o tem choćby tylko podana przez nas illustracya, przedstawiająca braterstwo broni angielsko niemieckie na Górnym Śląsku. Jest to reprodukcya ryciny, zamieszczonej na naczelnem miejscu jednego z ostatnich numerów *Berliner Illustrirte Zeitung*. Widzimy na niej dwu, do nie tak dawna najzażartszych wrogów, siedzących w miłej zgodzie, którą spowodował wspólny interes.

Kozłem ofiarnym, skazanym na spalenie na stosie celem uczczenia tego nowego porozumienia ma być oczywiście Górny Śląsk, względnie jego najważniejsze okręgi, które Anglia przyobiecała pocichu Niemcom wzamian za różnego rodzaju koncesye handlowe z ich strony.

Czy jednak Lloyd George nie zawiedzie się w swych rachubach, to dopiero czas pokaże, bo nie należy zapominać, że Niemcy przyjmują na siebie zobowiązania, ale, ani na myśl im nie przyjdzie, aby je wykonać, jak tego złożyli dowód, podpisując traktat wersalski.

Konszachty angielsko-niemieckie, zupełnie jawnie uprawiane stały się też przyczyną obniżenia powagi władz okupacyjnych na Górnym Śląsku, powodem śmierci francuskiego majora Montalegre a niewątpliwie także i wszelkich napaści na jenerała Le Ronda, na którego miejscu radzi byliby Niemcy widzieć Anglika, w ostateczności zaś choćby i Włocha. Ten sam podkład mają niesprawdzone dotąd wieści, rozsiewane przez pisma berlińskie o zamachu na życie przewodniczącego Komisyi międzysojuszniczej dla Górnego Śląska.



Wojenni bandyci niemieccy przed Sądem Rzeszy w Lipsku: Pałac Sprawiedliwości w Lipsku, gdzie odbywają się rozprawy.



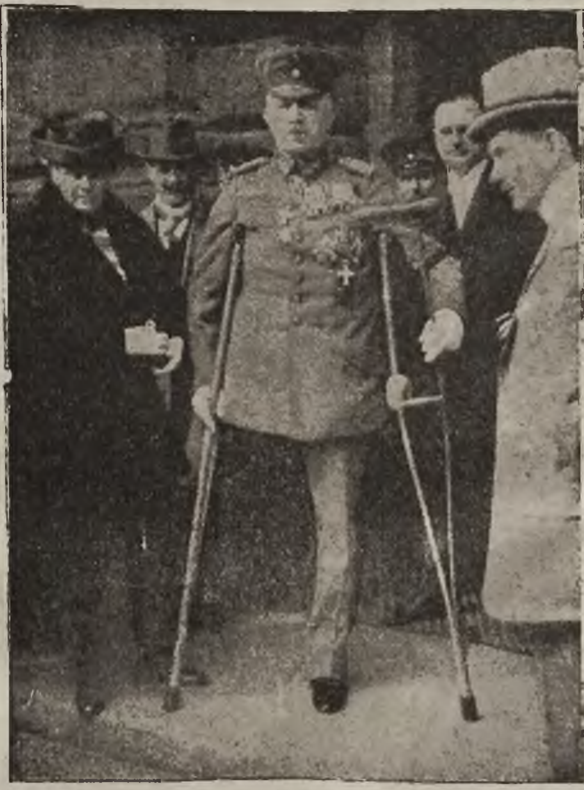
Wojenni bandyci niemieccy przed Sądem Rzeszy w Lipsku: Delegacya francuska biorąca udział w rozprawach.

Praca oświatowa w naszej armii.

Niejednokrotnie podnosiliśmy już w naszem piśmie, jak odmiennym jest sposób traktowania żołnierza w naszej armii od dawnego szablonu, stosowanego za czasów austryackich. Dziś dąży się do tego, aby żołnierzowi dać sposobność zaspakajania potrzeb duchowych, co bynajmniej, jak się okazuje, nie wpływa na obniżenie jego militarnej sprawności, owszem, zwiększa ją jeszcze, inteligentny osobnik wypełnia bowiem zupełnie inaczej rozkazy swych przełożonych, niż prostak, poruszający się automatycznie jak maszyna, zależnie od tego, czy się ją nakręci, czy nie.

Wykształceniem żołnierzy zajęto się u nas bardzo energicznie, oddając je w ręce referentów oświatowych, istniejących przy wszystkich większych komendach. Poza zajęciami służbowemi i godziwą rozrywką, pozostaje żołnierzowi jeszcze dość czasu, który, zamiast go spędzać bezczynnie, poświęca na kształcenie się, do czego pomocnemi są mu rozmaite w tym kierunku urządzenia, jak: Uniwersytet Żołnierski, wszelakiego rodzaju kursy itp. Odbywając swą powinność wojskową, nadrabia żołnierz równocześnie to, co musiał porzucić lub zaniedbał skutkiem powołania go w szeregi. W ten sposób otwiera się przed nim droga do wzięcia udziału w życiu społecznem, w którem w dzisiejszych warunkach człowiek bez ogólnego choćby wykształcenia nie byłby sobie w stanie dać rady.

Za wielką zasługę obecnego kierunku poczytać należy, że przestrzegając pilnie wszystkiego, co jest niezbędnem, aby żołnierz odpowiedział swemu zadaniu i ciążącym na nim obowiązkom, nie spuszcza także z oczu dopomożenia mu do wejścia kiedyś w życie ogólno społeczne i swobodnego się w niem obracania.



Wojenni bandyci niemieccy przed Sądem Rzeszy w Lipsku: Jenerał Stenger, jeden z głównych oskarżonych.

W dniu 30. czerwca b. r. ukończył się w Nowym Sączu sześciomiesięczny Kurs dokształcający podoficerski w zakresie trzech klas wydziałowych, urządzony dla sierżantów 1 p. s. p. staraniem tamtejszego Uniwersytetu Żołnierskiego. Na kursach udzielali nauki dyrektorowie i nauczyciele nowosądeckich szkół wydziałowych. Egzamin uczęszczających na kurs odbył się publicznie pod przewodnictwem powiatowego inspektora szkolnego, wobec delegacyi korpusu oficerskiego i zaproszonych gości. Wynik świadczy chlubnie o sumiennej pracy tak grona nauczycielskiego, jak i uczniów, wszyscy bowiem kandydaci, którzy Kurs ukończyli, złożyli egzamin z pomyślnym postępem. Będzie to niezawodnie zachętą na przyszłość i dla innych, by równie gorliwie garnęli się do pracy nad swem umysłowem wykształceniem, niezbędnem do objęcia w przyszłości jakiegoś społecznego stanowiska.

Kurs nowosądecki ukończyli sierżanci 1. p. s. p.: Baran Franciszek, Długosz Ignacy, Dyndał Władysław, Gryzło Wawrzyniec, szt. Jahn Józef, sierż. Kulczycki Andrzej, Kępny Franciszek, Leśniak Józef, Przybytniowski Ludwik, sierż. szt. Sentysz Bolesław, sierż. Stryczek Franciszek, sierż. szt. Wątroba Józef, sierż. Wojciechowski Szczepan, Wszołek Wawrzyniec.

Trzy kursy analfabetów na ukończeniu nauki, Kurs rolniczy, codzienne wykłady ogólno-kształcące, na które od siedmiu miesięcy uczęszczają żołnierze wieczorami batalionami, — oto cicha a brzemienna w skutki praca oświatowa 1. p. s. p. Pracę tę widać w zachowaniu się żołnierzy poważnem i spokojnem, to też garnizon nowosądecki cieszy się niebywałą sympatyą obywatelstwa miejscowego. Śmiało można powiedzieć, że 1. p. s. p. przoduje całej Polsce pod względem pracy oświatowej, a lwia część zasługi należy się porucznikowi W. Nowakowi, tamtejszemu referentowi oświatowemu i kierownikowi garnizonowego Uniwersytetu Żołnierskiego.

Wojenni bandyci niemieccy przed Sądem Rzeszy w Lipsku.

Jednym z punktów traktatu wersalskiego, przyjętego przez Niemcy, jest postawienie przed sądem wszystkich tych, którzy w czasie wojny dopuścili się zbrodni znęcania się nad jeńcami i bezbronną ludnością zajętych obszarów. Z pociągnięciem winnych do odpowiedzialności sądowej, nie spieszyli się bynajmniej Niemcy, ustąpić musieli dopiero pod energicznym naciskiem mocarstw koalicyjnych, żądających stanowczo ścisłego wykonania przyjętych na się zobowiązań. Rozpoczęła się zatem przed Najwyższym Trybunałem Rzeszy w Lipsku serya procesów, które ujawniły całą bezwzględność i ohydę postępowania niemieckich zbirów, rezultatu przecież nie osiągnęły, gdyż oskarżeni wychodzą z nich nie napiętnowani jako pospolici zbrodniarze, na co sobie w całej pełni zasłużyli, przeciwnie, otoczeni jakimś nimbem, robiącym z nich bohaterów narodowych.

Działalność sądu lipskiego i jego wyroki zakrawają raczej na komedyę, niż na wymiar sprawiedliwości, i dlatego nie można się też dziwić, że mocarstwa sprzymierzone nie chcą ich uznać, odwołują z Lipska swe delegacye i dokładają starań, aby wymiar sprawiedliwości uskuteczniały na przyszłość sądy obce, nie niemieckie. W ten sposób uwolnionoby Niemcy od tej, jak się wyraził ich minister sprawiedliwości, Schiffer, „strasznej tragedyi narodowej", iż sami muszą sądzić swych przestępców, których uważają za bohaterów.

Przed sądem stanęła pierwsza serya winowajców, złożona z kilkunastu ludzi. A raczej umundurowanych i wytresowanych bestyi, bo tych brutalnych oprawców i bezlitosnych katów i gwałcicieli, pozbawionych sumienia i honoru — ludźmi zwać nie należy. Zarzucają im znęcanie się nad jeńcami w obozach, torturowanie aresztantów — także dzieci — zatapianie statków szpitalnych, systematyczne mordowanie jeńców na rozkaz przełożonych itd itd. Jako świadkowie stają nietylko Anglicy, Belgowie i Francuzi, ale także Niemcy — ci ostatni w charakterze bądź świadków przeważnie odwodowych — bądź rzeczoznawców.

Dzienniki niemieckie ogłaszają sprawozdania z tych procesów możliwie lakoniczne i suche. Z relacyi tych dobywa się jęk i krzyk rozpaczliwy, bucha z nich krwawe światło, w którego promieniach potwornością wojennej tresury niemieckiej, dzikość ideologii wojennej nowożytnych Hunnów germańskich rysuje się w przerażających kształtach.

Każda wojna była i jest okrutną. Każda jest rozpętaniem bestyi ludzkiej.

Ale dopiero Niemcom przypadła zasługa ujęcia okrucieństwa w system, ogłoszenia i praktykowania go jako obowiązującą zasadę. Żołdackie bożyszcze niemieckie, tępy, krzyżacki brutal Hindenburg wypowiedział na początku wojny (w listopadzie 1914 r.) pamiętne słowa, które w swej szczerości pozostaną na zawsze ohydnym pomnikiem wojennej ideologii niemieckiej:

„Wojny nie prowadzi się sentymentalizmem. Im okrutniejszą jest wojna, tem jest humanitarniejszą, bo krócej potrwa".

Stary rzeźnik-feldmarszałek omylił się bardzo w swym z butną pewnością siebie wygłoszonym aksyomacie, że „okrutna wojna" potrwa krótko. Trwała ona cztery długie lata i zrewoltowała świat cały przeciw wojennemu systemowi niemieckiemu, przeciw udyscyplinowanemu barbarzyństwu Hindenburgów i Ludendorffów. Ale dopiero na tle słów Hindenburga zrozumieć można postępowanie Niemców we Francyi, w Belgii — i w Polsce. Tylko że o krzywdy polskie nikt się nie upomni; z biegiem lat zatrze się ich palące wspomnienie, winowajcy żyć będą bezkarnie, nawet nie napiętnowani wzgardą, gdy natomiast zbrodnie niemieckie we Francyi i w Belgii ku wiecznej haniebnej pamięci zostały ogłoszone w zbiorach dokumentów i będą świadczyły przyszłym pokoleniom o „kulturze" niemieckiej w latach 1914—1918.

W procesach, toczących się przed sądem Rzeszy w Lipsku, nie tylko sami oskarżeni stają pod pręgierzem. Niemniejszy wstręt budzą różni „rzeczoznawcy" (oficerowie i publicyści), wygłaszający w obronie oskarżonych swoje teorye i zachowujący się nieraz wielce butnie i prowokująco.

Np. w procesie niejakiego Ramdohra, oskarżonego o maltretowanie więźniów cywilnych (także dzieci) w Belgii, rzeczoznawca, bawarski rad. pol. Bauer z Monachium, oświadczył, że aresztowanie dzieci było w Belgii koniecznością, bo używano nieraz dzieci do szpiegostwa. W wielu wypadkach udowodniono też winę dzieci i wykonano wyroki śmierci!

Fakt ów przedstawia się jak następuje:

Pewnej nocy w czasie wojny w Grammont zniszczono telegraf nadbrzeżny. Wówczas ajent niemiecki, akademik, Max Ramdohr, kazał zaaresztować około 30 dzieci belgijskich, schwytanych na chybił trafił, w wieku od lat 8 do 14, i pośród zimy kazał je zamknąć w izbach nieopalanych, gdzie trzymane były przez 2 miesiące i 13 dni. „Dla rozwiązania języków bito dzieci kijami i rózgami z sadystycznem



Echa zapasów Carpentiera z Dempseyem: Pogromca Carpentiera Amerykanin Dempsey, zdobywca mistrzowstwa światowego w dziedzinie boksu.

wyrafinowaniem. Nie mogąc znieść cierpienia, umierając z głodu, niektóre dzieciaki przyznały się do wszystkiego, co im zarzucano, podpisały wszystko, co im przedstawiono: dzieci te osądzono i zesłano. Siedemnaście pozostałych przy życiu, dwaj lekarze, którzy opatrywali ich rany, i świadek, który słyszał ich krzyki, stawili się by złożyć świadectwo prawdzie przed sądem lipskim"... I p. Ramdohr został uwolniony. A studenci lipscy zgotowali mu burzliwą owacyę.

Ostatnio opinię świata cywilizowanego poruszyła szczególnie silnie sprawa jen. Stengera i maj. Cruzinsa. Pierwszego oskarżono i wykazano mu wydanie rozkazu dobijania rannych i nie brania żywcem jeńców. Drugiemu dowiedziono skrupulatne wykonywanie tego rozkazu. Opowiadano np. fakt, że gdy na rozkaz maj. Cruzinsa na polu bitwy dobijano rannych, wówczas ciężko ranny żołnierz francuski ukląkł i ze złożonemi rękoma błagał o pozostawienie mu życia. Nieludzki Prusak kazał go zamordować. Bronił się tem, że był żołnierzem i musiał słuchać rozkazów. Stenger, jak wiadomo, został uwolniony zupełnie, Cruzius skazany na 2 lata więzienia, przy odliczeniu aresztu śledczego. Stenger, który nogę stracił w wojnie, pojawił się przed sądem, obwieszony orderami, z głową podniesioną, i po odwieszczeniu wyroku, zawołał głośno, stukając kulą o podłogę:

„Szczęśliwy jestem, że mogę tu, przed najwyższym sądem Rzeszy niemieckiej, oczyścić się wobec Boga i świata cywilizowanego z niegodnych oskarżeń. Mogę nosić głowę do góry. Czyniłem to tylko, co było potrzebne dla obrony ojczyzny mojej, mojego cesarza ukochanego, pana wojny, i dla ochrony życia moich dzielnych żołnierzy".

Sala zatrzęsła się od oklasków, Stengera obsypano kwiatami. Po wyjściu tłum uliczny powitał go owacyą, wychodzącą zaś w chwilę później delegacyę francuską obsypał obelgami.

Echa zapasów Carpentiera z Dempseyem.

W jednym z poprzednich numerów naszego pisma donieśliśmy pokrótce o zapasach bokserskich między Francuzem Carpentierem a Amerykaninem Dempseyem o mistrzowstwo światowe, rozegranych w dniu 2 lipca w Jersey City pod Nowym Jorkiem. Zwyciężył Dempsey.

Zwycięstwo, odniesione w dniu 2 lipca w walce między Carpentierem i Dempseyem zakomunikowane zostało Paryżowi przez telegraf iskrowy. Walka trwała ściśle 18 minut i 16 sekund, a w 2 minuty po jej ukończeniu dowiedziała się o wyniku tej walki Francya.

O godzinie 8·32 wiadomo już było w Paryżu o zwycięstwie Dempseya, a w kilka minut później wybuchy bomb i syreny „Matina" jak również białe kule świetlne samolotu gazety „Petit Parisen" obwieściły koniec walki.

Dzienniki francuskie, które od miesięcy całych reklamowały z zapałem Carpentiera, doznały oczywiście wskutek wyniku walki gorzkiego rozczarowania.

Oddają one jednak Dempseyowi sprawiedliwość, przyznają, że Carpentier jest słabszy od Dempseya, oraz, że Dempsey nie ustępuje Carpentierowi pod względem szybkości ruchów.

Illustracye, opublikowane przez gazety paryskie, zawierają ścisły opis i numeracyę ciosów, wymienionych między zapaśnikami. Ze sprawozdania tego wynika, że Carpentier otrzymał 19 poważnych ciosów, z pośród których 12 wymierzonych było w serce i brzuch, podczas gdy dwa ostatnie ciosy, które w czwartej turze powaliły go na ziemię wymierzone były w brodę.

Carpentier ma nos złamany, a twarz jego po walce spłynęła krwią. Dempsey natomiast otrzymał tylko 13 ciosów, które sięgają od ucha do ucha. Według jednego ze sprawozdań nie nosi on żadnych śladów zewnętrznych uszkodzeń. W drugiej rundzie stało się jasnem, że Dempsey jest silniejszym i że Carpentier nie ma żadnych szans zwycięstwa. Jeżeli Carpentier dalej jeszcze walczył, to jest to tylko świadectwem niezwykłej jego uporczywości i energii.

Dempsey, który przed walką był przedstawiony jako zapaśnik brutalny, złożył po zwycięstwie dowody pewnego sentymentalizmu, o który nikt by boksera nie posądził. Gdy Carpentier pokonany w walce padł na ziemię, Dempsey wziął go na ręce i trzymał go tak długo, dopóki nie zabrali go z rąk jego Francuzi.

Pierwszym czynem Dempseya po opuszczeniu pola walki było wysłanie depeszy do starej matki, w której doniósł o swoim tryumfie.

Także Carpentier uznał przewagę Dempseya, gdy przyszedł do zmysłów powiedział:

— Dempsey jest prawdziwym championem. Ameryka może być dumną z niego.

Jest to prawdziwy dowód francuskiej elegancyi, zwłaszcza gdy słowa te padają z ust człowieka z zakrwawioną brodą i złamanym nosem i po doznaniu tak wielkiego zawodu.

Carpentier ma przytem pewną materyalną pociechę, gdyż mimo swej porażki otrzymuje stosunkowo wysokie wynagrodzenie, a mianowicie 200.000 dolarów, co według obecnego kursu stanowi 2 i pół miliona franków, z której to sumy musi opłacić się na rzecz państwa kwotą 55.000 dolarów. Dempsey natomiast musi z 300.000 dolarów, które mu wypłacono, oddać państwu 70 000 dolarów.

Z pułek księgarskich.

Przewodnik po W. M. Gdańsku i okolicy pod redakcyą Kaz. Galewskiego. Gdańsk. Wydawnictwo „Der Osten" 1921.

Staraniem wszechświatowego tygodnika przemysłowo-handlowego „Der Osten" (Tow. nakł. z ogr. por.) w Gdańsku opuścił świeżo prasę drukarską „Przewodnik po W. M. Gdańsku i okolicy", zaopatrzony mapką i licznemi illustracyami w tekście. Publikacya ta, wydana starannie, ułatwi naszym turystom zwiedzanie osobliwości nadbałtyckiego grodu. W przedmowie zaznaczono, że Gdańsk osiągnął cel swych marzeń i dążeń, stając się wolnem miastem. my od siebie dodamy życzenie, aby jak najrychlej wszedł w skład Rzeczypospolitej Polskiej, której się *de jure* należy, a wówczas dopiero spełnionem będzie w całej rozciągłości jego dziejowe zadanie i zapewniony dalszy rozkwit.

Od Redakcyi.

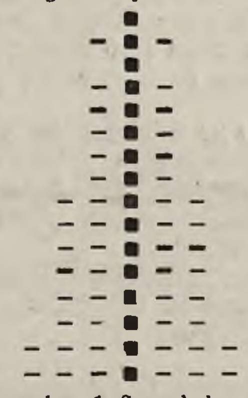
Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

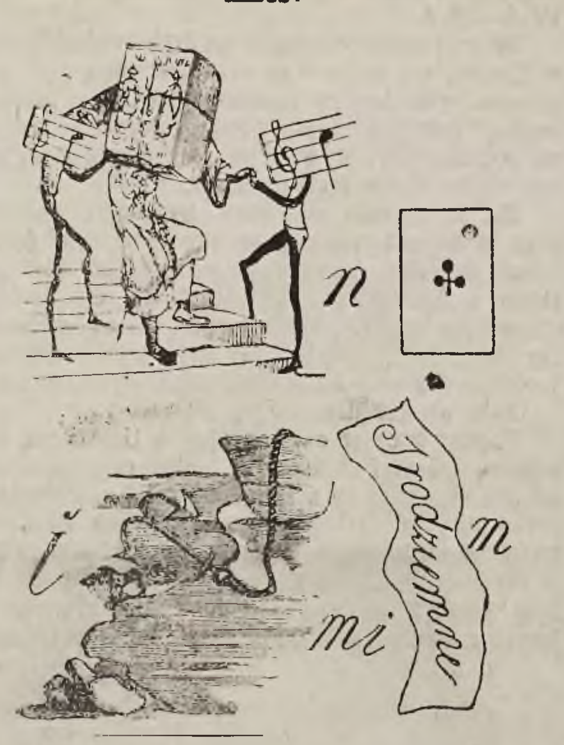
Ułożył A. R. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko zmarłego niedawno polskiego historyka.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska, 2. Napój wyskokowy, 3. Spółgłoska, 4. Znana słabość, 5. Owad, 6. Znany Japończyk, 7. Nazwa kart, 8. Okres czasu, 9. Miejsce święte dla Turków, 10. Miejscowość we Wschodniej Małopolsce, 11. Rzeka w południowej Rosyi, 12. Przyrząd rolniczy, 13. Rzemieślnik, 14. Polski pamiętnikarz, 15. Miejscowość na Węgrzech, pamiętna zwycięstwem Sobieskiego nad Turkami, 16. Znana słabość

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) J. U. Niemcewicza „Jan z Tenczyna" (romans historyczny), 2) W. Wodzinowskiego „Wnętrze Katedry Wawelskiej" (trójbarwny druk).

Rozwiązanie zagadek z Nru 28.

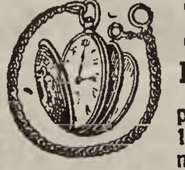
Logogryf. M, Nil, Mekka, Don, ł, Sar, Wujek, oko, o, Opa, Kreta, era, n, lis, Tokaj

Zgłoskówka. Zielone Święta.

Rebus: U panów życie, to pasmo rozkoszy.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: B. Kaucki Żółkiew, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Komperdowa Lwów, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S. Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, C. Górny Limanowa, E Gugulski Jędrzejów, D. Grajower Rzeszów, S. Piekarski Poznań, S. Sadowski Warszawa, H. Malczewska Warszawa, J. Bielawski Rzeszów, T. Michalkiewicz Przemyśl, H. Waligórski Tarnów, H. Maciejowski Lwów, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rogalska Podgórze, K. Kozłowski Sandomierz, Z. Zawadzki Warszawa, O. Niedziałkowska Kraków, A. Sas Miechów, W. Kulesza Warszawa, M. Stachowicz Kraków, G. Wirstnik Żółkiew, J. Cześnikiewicz Kraków, M. Planecka Kraków, R. Mąka Kraków, W. Nowotarska Kęty.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Zachorski Warszawa (książka); 2) Z Schmidt Łódź (kalendarz familijny). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.